Nr. 5. Warszawa, dnia 4 Lutego (23 Stycznia) 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PANAMINO.

Było do przewidzenia, że jak tylko wykryto we Włoszech nadużycia finansowe, zwłaszcza w związku z osobami kilku deputowanych i ministrów, cała sprawa musi się potoczyć koleją procesu panamskiego. Od pierwszej też chwili nazwano ją „Panamino.“ Właściwie jednak oba te wypadki są do siebie zbliżone tylko współczesnością. We Francyi chodzi o świadome sfałszowanie olbrzymiego przedsięwzięcia, o złą wiarę i oszustwo, które naraziło drobnych kapitalistów na stratę kilkuset milionów fr., wreszcie o przekupstwo deputowanych i ministrów, którzy pomogli do wykonania tej operacyi. We Włoszech Bank rzymski, obdarzony przywilejem wypuszczania biletów, przekroczył granicę dozwoloną o 65 milionów lirów, a uczynił to podobno w związku z przedstawicielami rządu, którym dostarczał środków na agitacyę wyborczą. Nadto nieprawidłową gospodarkę odkryto w Banku neapolitańskim. Włosi tedy mają nietylko oszustwo inne, ale znacznie mniejsze. Wszakże zważyć trzeba, że dotknęło ono kraj nierównie uboższy i ujawnione zostało w chwili największego rozpalenia się namiętności w sprawie panamskiej. Te dwa względy nadały wybuchowi zgrozy nadzwyczajną gwałtowność. Rzecz naturalna, że upatrzywszy podobieństwo z położeniem sąsiadki, chciano naśladować ją w dochodzeniu prawdy i ściganiu winnych. A więc po uwięzieniu dyrektorów zażądano utworzenia „ankiety parlamentarnej,“ działającej obok organów sądowych. Prezes gabinetu oparł się temu całą siłą, wymagając pod groźbą dymisyi, ażeby pozostawiono trzy miesiące „wolnemu biegowi sprawiedliwości“ i dopiero potem, jeżeli okaże się potrzeba, zamianowano taką komisyę. Izba zgodziła się na ten wniosek. Pozornie zdawaćby się mogło, że Giolittiemu szło o przykrycie prawdy tajemnicą, a może o zasłonięcie pewnych wysoko postawionych winowajców. Rzeczywiście jednak miał on cel inny, lepszy. Doświadczenie, osiągnięte przez „ankietę“ francuską, dowiodło, że ona, pozbawiona władzy wywierania przymusu, nie rozjaśnia sprawy, owszem zaciemnia ją, otwierając szerokie pole oszczerstwu. Dotychczas nikt nie wie, gdzie w skandalu panamskim kończą się oskarżenia słuszne, a gdzie zaczynają się potwarcze. Służą one bowiem za płaszczyk wszelkim pretensyom i nienawiściom osobistym, wszelkim rachubom podstępnym, wszelkim matactwom politycznym. Po odkryciu nadużyć banku rzymskiego buchnął natychmiast potok obelg, posądzeń i zniesławień, a niewątpliwie rozszerzyłby się znacznie, gdyby mu dano obszerne ujście w zeznaniach przed „ankietą parlamentarną.“ Otóż Giolitti pragnął go co prędzej i możliwie zatamować, zwróciwszy całe śledztwo w kanały dochodzenia sądowego. Nie zamierzał on tym sposobem ratować jedynie osób podejrzanych i niewinnych, ale przedewszystkiem odwrócić od kraju klęskę finansową. Nie obliczono dotychczas, jakie straty poniosła Francya w spadku swych papierów skutkiem procesu panamskiego, w każdym razie są to straty olbrzymie. Miliony wszakże, które ona posiada, Włochom nawet nie ukazują się w marzeniach. Jeżeli ciosy giełdowe spadają na kraj bogaty, nie zagrażają jego życiu; co innego, gdy uderzą w zbankrutowany, który strącić mogą w otchłań ruiny. Prezes gabinetu włoskiego musiał temu zapobiedz i dlatego też energicznie wystąpił przeciw praniu brudnej bielizny dwu banków na rynku publicznym. Przypuszczamy też, że chociaż jego poprzednik, Rudini, natarczywie domagał się „jawności,“ czynił to ze względów taktycznych, jako przywódca opozycyi i że znajdując się u steru władzy, nie miałby takiego upodobania.

Chociaż „Panama“ i „Panamino“ różnią się co do swojej istoty i rozwoju, prawdopodobnie sprowadzą w obu krajach jeden wspólny skutek, mianowicie zdyskredytują moralnie nietylko obecnych przedstawicieli narodu, ale ich warstwy i żywioły społeczne. Wypadki te bowiem przekonały dowodnie, że do parlamentów wkradają się przeważnie pierwiastki zgnilizny, zepsucia, bezczelnego sobkostwa i nieuczciwej szacherki. Wobec wstrętnych odkryć i smutnej nauki wyborcy niezawodnie odwrócą się od ludzi, których dotąd stawiali na swem czele i którym powierzali swe losy, będą musieli obejrzeć się dalej i wyszukać sobie innych, a wtedy ciała prawodawcze zarówno Francyi, jak Włochy przybiorą odmienną postać i pójdą w odmiennym kierunku. Trudno dziś wróżyć, co się narodzi z tych dwu chaosów, to tylko pewna, że narodzi się coś całkiem nowego. Po ludziach zbrukanych błotem przyjdą tacy, których ono jeszcze nie pokalało. Dlatego z taką gorączkową, rzec można, rozpaczliwą wytrwałością trzymają się swych mandatów teraźniejsi ich posiadacze; wiedzą, że do nich nie wrócą, nawet ci, którzy nie sprzedawali się za zdradzieckie srebrniki. Klątwa bowiem niesławy padła już nie na jednostki, ale na całe gromady, frymarczące zaufaniem i interesami narodu.

We Francyi jest to kwestya rozstrzygnięta, we Włoszech zależyć będzie od wyników śledczych i sądowych „Panamina“, mianowicie od tego, ilu deputowanych znajdzie się w jego sromotnem kole. Dziś nie można ich liczby oznaczyć nawet przybliżenie, bo oszczerstwo mnoży ciągle winowajców. Ale to nie ulega już żadnej wątpliwości, że z kas Banku rzymskiego i Neapolitańskiego złote krople kapały w kieszenie deputatów.

Według ostatnich doniesień, trzymani za kratą dygnitarze grożą, że jeżeli sprawiedliwość ściśnie ich zbyt mocno, wydobędzie z nich tajemnice, które skompromitują ca-

ły szereg dostojników państwowych. Pogróżka ta jest dosyć przejrzysta. Chociażby bowiem oskarżeni nie byli w posiadaniu takich sekretów, chcą rząd zastraszyć kłamstwem. Jest to swojego rodzaju szantaż, który czasem się udaje, gdy zaskoczy charaktery lękliwe, wypuszczające na świat łotrów „dla miłego spokoju“ lub „uniknięcia skandalu.“

REFORMA WYBORCZA W PRUSACH.

Berlin, 29 stycznia.

„Najnikczemniejsze zpośród istniejących praw wyborczych“ — w ten sposób Bismark scharakteryzował niegdyś, jeszcze za czasów swego panowania, obowiązującą w monarchii pruskiej ustawę wyborczą. A jednak, pomimo tego wyroku z ust tak wszechwładnych, wciąż ona istnieje i zgoła nie zanosi się na to, ażeby w niedalekiej przyszłości została poddana zmianie głębszej. Z drugiej strony sama publiczność, nawet opozycyjna, z pewną obojętnością spogląda na miejscowe kwestye pruskie, podobnie jak na badeńskie lub meiningeńskie. Pojedyncze zaścianki rozpływają się zwolna w Rzeszy ogólno-niemieckiej, a bieg spraw i uczuć wyprzedza o wiele kroków w tej mierze istniejący stan prawny. Niemcy przyćmiły zatem monarchię Pruską, i nie tylko ją jedną. Meklemburgia po dzień dzisiejszy posiada istne stosunki przedpotopowe, niemal nawskroś feodalne; rządzący w wolnem mieście Hamburgu senat jest synekurą dziedziczną kilku rodów wielkich *shop-keeperów* i troskliwie pielęgnuje, niby źrenicę oka swego, tradycye średniowiecznej oligarchii patrycyuszowskiej. Matka-Germania przypomina niewiastę, która siedzi na wyniosłym tronie, odziana w złotogłów i w szaty drogie. Każdy tylko ją spostrzega i nie zwraca uwagi na całą gromadę brudnych i odrapanych dzieciaków, które tu i owdzie ukrywają się starannie w fałdach jej sukni... Atoli jeżeli dla hanowerczyka lub sasa pruskiego ustawa wyborcza do sejmu staje się rzeczą coraz obojętniejszą, a wzrok jego przesuwa się po nad maleństwem obszarpanem w kierunku stroju wspaniałego wielkiej Germanii, inaczej rzecz się ma z temi dzielnicami, które posiadają odmienną etnicznie przeszłość kulturalną i dla swego rozwoju potrzebują niezaniedbywania spraw miejscowych. Że Rzesza niemiecka jest ubrana wykwintniej, to nie przynosi im ulgi, gdyż rozwój stosunków miejscowych, podążający na podstawie zasady trójklasowej, powoli prowadzi do istotnej otchłani zabójstwa kulturalnego.

Przypatrzmy się ustawie trójklasowej, obowiązującej zarówno w życiu gminnem jak i państwowem. Jest ona nader prostą. Przypuśćmy, że jakaś gmina opłaca 3,000 talarów rocznie podatków bezpośrednich rozmaitej nazwy. Otóż opodatkowani są wnoszeni na listę wyborczą w ten sposób, że idą po sobie kolejno w miarę spadania powinności podatkowej. Bierze się naprzód idących, póki w sumie podatki przez nich opłacane nie dadzą 1000 talarów; podobnie czyni się z dalszemi nazwiskami aż do wypełnienia drugiego tysiąca i wreszcie trzeciego. Powstają tedy 3 klasy wyborców, a każda wybiera jednakową liczbę mężów zaufania, którzy już na ogólnem zgromadzeniu powołują zarząd gminny lub municypalny albo posła do sejmu. Dotychczas, jest to panowanie uprzywilejowane wyżej opodatkowanych. Atoli przy układaniu tej ustawy wyborczej nie zapytano się o radę rozwoju ekonomicznego. A on wciąż posuwa się dalej, nie dbając, że od lat kilkudziesięciu ustawa owa brzmi tymi samymi wyrazami. Bieg tego rozwoju polega na tem, że bogactwo zcśrodkowywa się wciąż w nieliczniejszem ręku, a szerokie masy ludności rzemieślniczej ubożeją coraz bardziej. I oto postać rzeczy przybiera inny wygląd. Dość ażeby jakiś obywatel ziemski założył gorzelnię, a już sam jeden wypełnia całą listę wyborczą klasy pierwszej. Skutki rozwoju już wypłynęły na jaw przed laty 30, bo w r. 1861 okazało się, że w wielu okręgach pierwszą klasę stanowi ledwie kilka osób. W Poznaniu np. składało się na nią aż trzy! To samo ubywanie wyborców daje się spostrzegać i w klasie drugiej; natomiast trzecia wciąż nabrzmiewa. Właśnie w tem zjawisku tkwi źródło owych faktów w Poznańskiem, że obecność jednego człowieka rozstrzyga o losach wyborów i ludzie z klasy pierwszej i drugiej, złożeni ciężką niemocą, każą wieźć się dla oddania głosu. Atoli rok 1861 należy do przełomowych w monarchii pruskiej. Jest to okres, kiedy Prusy zaczynają wkraczać na drogę kraju przemysłowego. Po nieśmiałych próbach następuje stąpanie śmielsze, a wreszcie ostatnie dziesięciolecia — to epoka wyuzdanego panowania sakiewki i wzrostu antagonizmów w rozkładzie majątku narodowego. Ludność skupia się ku dwom biegunom — nędzy i bogactwa. Odbija się to w ustawie wyborczej, która staje się coraz wyraźniej pokrywką dla wszechwładztwa plutokracyi. W Berlinie np. szajka restauratorów i przedsiębiorców sal do tańca wypełnia klasę pierwszą, a Caprivi pono należy w tym podokręgu do trzeciej! Jeżeli weźmiemy okres czasu 1873—1885, to znajdziemy, że kiedy liczba wyborców, głosujących w klasie trzeciej (w Berlinie) podniosła się z 137 tysięcy na 264, pierwszej spadła z 5,579 na 4,964! Stosunki te w Prusach wschodnich, gdzie istnieją oazy litewskie, na Szlązku i w Poznańskiem, przybierają inną barwę. I tutaj gromadzenie majątku z jednej strony, ubożenie z drugiej szybko następuje. Weźmy jakieś miasteczko. Miejscowa ludność rzemieślnicza chroni się na tyły miasta, bo środek zajmują sklepy i filie przemysłowców niemieckich (względnie żydowskich). Wraz z tem klasę pierwszą i drugą wypełniają żywioły napływowe, a gdy przychodzi do wyborów municypalnych, zarząd jednego miasta po drugiem przechodzi do rąk grup, obcych miejscowym interesom kulturalnym. To samo dzieje się na wsi, gdzie wyprzedaż wielkich majątków ziemskich jest jednocześnie zmniejszeniem politycznem klasy pierwszej, względnie drugiej.

Słowem, w dynamice rozwoju społecznego ustawa pruska prowadzi do skutków szczególnych. Właśnie wniesiono projekt pewnej reformy w jej zakresie — z powodu zmian, wypływających z nowych stosunków podatkowych. Gdyby zatrzymano dotychczasowe brzmienie ustawy, rzuconoby obywatelstwo ziemskie w pobliżu miast do klasy drugiej, a może trzeciej. Klasę pierwszą mają stanowić osoby, uiszczające $^5/_{12}$, drugą — $^4/_{12}$, trzecią — $^3/_{12}$ ogółu podatków. Reforma jest drobna i zgoła nie powstrzymuje w mieście panowania plutokracyi, w okręgach np. litewskich lub łużyckich — wyrugowania od władzy politycznej tłumów miejscowych i oddania przybyszom.

J. W.

---

1)

Wanda Grot-Bęczkowska.

MARYŚKA.

I.

— Marys, Marys! O Jezu Nazareński, a umykaj-że z izby, bo ten bezdusznik idzie...

— A ino prędko, ino prędko — wołała stara kobieta, przerażonym wzrokiem wodząc do koła.

Z kąta izby wysunęła się młoda dziewczyna. Rzuciła na ziemię blaszaną łyżkę, którą obierała kartofle, przeszła powolnym krokiem izbę i zniknęła we drzwiach sąsiedniej komory.

Ciężkie kroki słychać już było w sieni.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Wysoki, barczysty chłop wszedł do izby. Czapka na bakier, oczy łzami zaciągnięte, czerwone jakieś i mętne, na twarzy ślady gwałtownych namiętności.

Straszny był.

Zatoczył okiem po izbie i krzyknął:

— Gdzie Maryśka?

Stara przykucnęła w kącie i milczała.

— Gdzie Maryśka? — wrzasnął jeszcze głośniej.

— Musi poszła — ozwał się z kąta głos drżący.

Chłop obejrzał się znów po izbie. Zobaczył przewrócony koszyk i rozsypane kartofle.

— Uciekła przede mną bestya — huknął, aż szyby zadrżały. Kaj poszła? Gadaj stara, bo ci gnaty połamię...

— Musi do obory — ciszej jeszcze odparła stara.

Chłop kopnął nogą szaflik, stojący na drodze, zaklął siarczyście, trzasnął drzwiami i poszedł.

Stara, o ile sześćdziesięcioletnie nogi pozwalały jej na to, podniosła się z ziemi z pośpiechem.

Zaczęła zbierać kartofle, mrucząc coś po cichu, a w chwilę potem słychać było skrzypienie blaszanej łyżki i plusk rzucanych w wodę kartofli. Głośne przekleństwo obiło się wkrótce o jej uszy.

W sieni rozległ się hałas, stukanie kijem, macanie sękami. Pijany chłop do drzwi trafić nie mógł.

— Otwarzać psie dusze... otwarzać galgany, bo zatłukę!..

Głos wychodził mu z gardła syczący, wódką i wściekłością ochrypły, dusił się...

Stara zerwała się jak szalona. Podbiegła do drzwi, pchnęła je i uciekła za piec co rychlej.

To ją ocaliło. Ogromny sękaty kij, zamiast w jej starą głowę, uderzył w próżnię.

Chłop wtoczył się na środek izby. Babina siedziała już na przypiecku, a że mrok padał i w izbie ciemno było, nie mógł jej dojrzeć na razie. Łamał i tłukł, co miał pod ręką. Wściekłość jego przeszła już w tę fazę, gdzie graniczy z obłędem i do zbrodni gotowa.

Nabiegłe krwią oczy, szukając uparcie starej, padły na łóżko, do połowy czerwono pomalowaną szafą zastawione. Z pod pierzyny wynurzyła się teraz opuchła twarz młodej dwudziesto-kilkoletniej kobiety z roztarganym włosem i wystraszonem wejrzeniem.

Wyciągnęła przed siebie ręce, chciała się podnieść... ręce trzepotały się w powietrzu bezsilnie i głowa opadła znów na poduszki.

Babina na przypiecku nie pisnęła nawet. Zatuliła usta ręką i odmawiała w myśli koronkę do Przemienienia, a trzęsła się jak liść osiki.

— Leżeć tam! — krzyknął chłop w stronę łóżka. Leżeć i pysk zamknąć... Bo jak zdzielę!..

Cisnął kij z całej siły, ale trafił w szafę i rozłupał drzwi na dwoje. Zatoczył się po

Z POZNAŃSKIEGO.

Poznań 26 stycznia.

Wybory do parlamentu. — Zwycięstwo p. Donimirskiego. — Sejmik miast, jego obrady i uchwały.

Już w okręgu kwidzyńsko-sztumskim nie będzie zasiadał, jak dotychczas, poseł niemiecki, jeno nasz, wybrany większością naszych głosów. Było kandydatów do poselstwa z okręgu tego aż pięciu, czterech niemców i jeden polak. Niemcy zawarli ścisły sojusz, byle tylko jednego ze swoich przeprzeć, a szanse ich wzrosłyby, gdyby tylko zdołali doprowadzić do wyborów uzupełniających. Przy tych ostatnich i namiętność gra większą rolę, i osobisty honor, i podnieta, a ponieważ przy tem po cichu władze także pomagają, wygrana jest o wiele łatwiejsza, aniżeli przy wyborach głównych, gdzie zajęcie ogólne nie jest jeszcze zbyt silnie rozbudzony. Pierwszy rezultat wyborów dał: Henrykowi Donimirskiemu 6914 głosów, Wesslowi 4073, Dieskauowi 1558, Rotherowi 745 Jochewowi 523.

Absolutna większość na 13,814 głosujących wynosi zawsze 6,907, ponieważ zaś p. Donimirski miał 6,914, więc faktycznie uzyskał mandat 7 głosami. Taki był rachunek nasz, ale całkiem inaczej zapatrywano się na tę sprawę tam, gdzie ona się rozstrzygała. Z obliczenia urzędowego wynikło, że p. Donimirskiemu brak 13 głosów do większości bezwzględnej i że z tego powodu odbyć się muszą wybory uzupełniające. I tych dokonano, p. Donimirski otrzymał w nich 8,423 głosów, zaś jego przeciwnik p. Wessel, dotychczasowy poseł z tego okręgu, miał tylko 7,330. Oczywiście, że taki rezultat napsuł krwi niejednemu, a p. Wessel na gwiazdkę zamiast mandatu poselskiego oglądał na choince prawdziwą, turecką, soczystą figę, którą sam niepodzielnie zjadł, klnąc swych stronników i przyjaciół, którzy nie pomogli mu dość znacznych kosztów wyborczych razem ponosić. „Geselliger,“ dobrze znany czytelnikom z mych dawniejszych korespondencyi, wznosi obecnie pobożnie oczy do nieba, pisze, że nie wie, co o tym wyniku ma sądzić i spodziewa się, że chyba teraz rząd zaprowadzi u nas rodzaj... stanu oblężenia.

Odbył się w Poznaniu sejmik miast W. Księstwa Poznańskiego pod prezydencyą nadburmistrza poznańskiego Wittinga. Był on bardzo dla spraw miejskich wogóle doniosły i stąd też liczny. Brali w nim udział delegaci 67 miast. Pod obrady weszła sprawa ustawy dotyczącej podatku komunalnego w szczególności, a nadto reformy podatków wogóle. Szczegółowo i niezbicie wykazano, że projekt reformy wcale nie jest dobrze obmyślany i zawiera błędy, które bezwarunkowo usunięte być winny. Najważniejszą wadą jest niewątpliwie to, że rozkład ciężarów wypada niekorzystnie dla niezamożnych. Już po świeżo dokonanej reformie podatku dochodowego w Poznaniu okazało się, że gdy w r. 1891 w III klasie wyborczej było 6557 obywateli uprawnionych do głosowania, obecnie jest ich już tylko 6,528, w II klasie było 839, a jest obecnie 601, w I klasie 247 a jest 172. Nadto jeden z § (62) projektu zagraża niebezpieczeństwem dla komunalnej swobody podatkowej, gdyż władze nadzorcze zbyt wkraczają w szczegóły, należące do władz autonomicznych. Wywiązała się długa i ożywiona dyskusya, której wynikiem było uchwalenie kilku obszerniejszych przedstawień do sejmu pruskiego. Oto ważniejsze: projekt zagraża dotychczasowym prawom miast, przepisy tedy takie winny być z niego usunięte. Koniecznem jest wydanie w związku z ustawą o podatkach komunalnych ustawy, nowo regulującej wybory miejskie. Z chwilą wejścia w życie ogólnych podatków dochodowych (Ertragsteuern) na rzecz gmin, należy usunąć dotychczasową, istniejącą dla pewnych gruntów i budynków wolność podatkową jako nieuzasadnioną. Wreszcie komunalny przywilej podatkowy urzędników, który projektuje reforma, nie ma żadnej racyi bytu. Uchwały te wejdą do sejmu i niewątpliwie wywrą pewne wrażenie, a chociażby nie odniosły żadnego skutku, to jednak wiec ma swoje bardzo wielkie zasługi. Oto uchwalono na nim utworzenie stałego sejmiku miast Księstwa, któryby się zajmował tylko komunalnemi sprawami. Organizacya taka była już oddawna potrzebną, a zwłaszcza u nas, gdzie miasta wobec braku większego przemysłu muszą upaść bez pomocy jakiejś i upadają faktycznie.

t. z.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Coraz dalej krwawi się a raczej ropieje sprawa panamska. *Libre parole* i *Cocarde*, para pierwszych skrzypiec w orkiestrze oskarżeń i oszczerstw, wygrywają coraz nowe melodye kankana łapowniczego. Teraz Hertz jest ofiarą, niewinną i biedną, a jako zły duch wypłynął Clemenceau, który miał otrzymać 3½ miliona franków dla swej *Justice*. Zdaje się, że już nawet sami „odkrywcy“ zatracili granicę między kłamstwem a prawdą. Bawiący w Anglii Hertz nie został dotychczas wydany, gdyż skuteczniej, niż obywatelstwo amerykańskie i sądy angielskie, ubezpieczyły go rozmaite choroby, które nagle przybyły mu z pomocą. Według ostatnich doniesień — już kona. Przypuszczamy wszakże, iż gdyby Francya wyrzekła się sprowadzenia go do kozy, szybko by wyzdrowiał. Jego wspólnik, Arton, niknie ścigającym go agentom francuskim jak kamfora. Wyśledzono, iż przez jakiś czas ukrywał się w Peszcie, ale umknął stamtąd i powędrował dalej pod przybranem nazwiskiem.

Ponieważ skutkiem plotek dziennikarskich publiczność zaczęła wycofywać swoje wkłady z państwowych kas oszczędności, przeto rząd wystąpił z projektem prawa, mającego karać dzienniki za osłabianie zaufania do tych instytucyj. Że pewna część prasy francuskiej postępuje niepatryotycznie i wprost ohydnie — to nie ulega żadnej wątpliwości; mimo to jednak nie przestaje być słuszną uwaga, że rząd ratuje położenie jakiemś ustawodawstwem, sztukowanem z kawałków, przyczepianem do bardzo drobnych zdarzeń i nieogarniającem szerszych widnokręgów. Praw nie należy fabrykować robotą pośpieszną.

Parlament angielski został otworzony mową tronową, która stwierdza przyjazne stosunki ze wszystkiemi mocarstwami i zapowiada reformy w Irlandyi. Odrazu zawrzało w Izbie niższej, jak w ulu — posypały się najrozmaitsze projekty adresu do korony, które nieprędko dojdą do jakiejś harmonii. Rozumie się, głównie sprawa irlandzka dostarczy materyału do ożywionych i namiętnych rozpraw. Ze względu na nią obecna sesya parlamentu angielskiego należyć będzie do najciekawszych i najpłodniejszych w poważne skutki.

Załoga angielska w Egipcie została wzmocniona „dla utrzymania porządku.“ Wiadomo, że głównym naruszycielem tego „porządku“ był kedyw. Pogłoska opowiada, że sułtan popiera go tajemnie w wyzwalaniu się od Anglii i w zamiarze wyprawy do Sudanu, która obecnie podobno miałaby warunki powodzenia. A dlaczegóż by ona nie dogadzała interesowi anglików? Im nie dogadza wszelkie rozciąganie się

---

izbie, nogi chwiały się pod nim. Wódka zrobiła swoje. Runął jak długi na podłogę... zasnął. Chrapanie i rzrzenie napełniło izbę.

Stara zlazła z pieca. Ciężkie łzy płynęły po zmarszczonej twarzy.

— Najświętsza Panienko — szeptała — obroń-że nas od rozbójnika tego. Jakże z nim żyć nam nieszczęśliwym kobietom, jak radę dać?..

Zabrała się do przerwanej roboty, oskrobała kartofle, zapaliła ogień i przywołała córkę.

Maryśka wróciła. Splunęła z obrzydzeniem w stronę leżącego szwagra i przy kominie stanęła. Czerwony płomień oświecił twarz dziewczyny. Blada była, drobna, ale ładna. Wielkie czarne oczy błyszczały w niej jak dyamenty. Gdy pod wpływem ożywienia podniosła je, tyle w nich było wyrazu, tyle namiętnego żaru, że cała twarz piękniała i ciągnęła ku sobie nieprzepartym urokiem.

Tęgie, rumiane wiejskie dziewuchy nazywały ją z przekąsem wątrobnicą i badylem, bo bladość jej twarzy miała jakiś odcień żółtawy, a wzrost przy szczupłych, wiotkich kształtach zdawał się wyższym jeszcze.

Nie lubiono jej ogólnie. Ona też nie garnęła się do ludzi. Była to skryta natura, zamknięta w sobie, zdolna jednak czuć głęboko. Ojciec odumarł ją parę lat temu. Szwagier, oto ten bezdusznik, huknął go w brzuch po pijanemu, coś poderwał we wnętrzu i stary poleżawszy parę miesięcy, Bogu ducha oddał.

Odetchnęły biedne kobiety, gdy rozbójnika do aresztu zabrali, ale krótka była ich uciecha. Kłoda, tak się chłop ów nazywał, obiecał wójtowi tłustego byczka, na którego wójt dawno sobie zęby ostrzył i po dwóch niedzielach puścili go.

O! sądny to był dzień w chałupie wdowy po Błażeju, gdy zięciaszek powrócił. Toć miał teraz z samemi babami sprawę. On tu pan, on gospodarz.

Podobno gdy Maryśka miała lat szesnaście, Walenty Kłoda chciał się z nią żenić.

Spodobała się tęgiemu wysokiemu jak sosna chłopu blada, szczupła dziewczyna, wcale niepodobna do czerwonej jak piwonia Kaśki Mrozikównej, ani do dworskiej Józki. Maryśka jednak patrzeć na niego nie chciała. Gdy raz objął ją i chciał pocałować, to mu do krwi paznokcie w twarz wpiła, aż z bólu puścić ją musiał i długo potem gębę owijać, bo się ludziska naśmiewali z niego okrutnie.

— A no poczekaj... poczekaj ty czarownico! Chyba ja nie Kłoda, jeżeli ci tego nie odbiję.

W rok potem ożenił się z jej siostrą i do chałupy Błażejów sprowadził.

Jagnę swoją, zaraz w kilka dni po ślubie, sprał porządnie. Prał ją tak lat kilka... Przygniótłszy raz kolanem, klatkę piersiową zgruchotał i puścił dopiero wtedy, gdy krew bluznęła ustami i oblała mu gębę, aż spluwał potem cały wieczór. Gdy się teścia pozbył, po jego śmierci zaczął się na dobre rozpościerać w chałupie. Kumowie i familia krzyczeli o działy, widząc, jaka się krzywda wdowie i sierotom dzieje... Ale chłop górę wziął, jałowice wójtowi dawał, radnych i gromadę poił i z chałupy nikt go ruszyć nie śmiał.

Jagna, od czasu gdy ją tak wyprał, nie wstawała z łóżka. Kaszlała, pluła krwią i słaba już tylko iskierka życia tliła się w tym zbiedzonym organizmie.

W chacie krzątała się matka i Maryśka. Biedna stara, popychana, szturgana, łżona na każdym kroku przez niegodziwego zięcia, drżała, gdy krok jego posłyszała w sieni.

Zły był kiedy trzeźwy, a pijany... wściekły.

Czteroletni Jacuś hasał dniami całymi po łąkach i polach, byle od ojca nadalej; mały Floruś miał swój kącik pod piecem, z którym rzadko się rozstawał...

Starszy był zdrów i tęgi, młodszy kaleka

cudzej władzy na terytorya, które mogą być kiedyś przez nich zdobyte, nadewszystko zaś nie podoba im się energia młodego kedywa. Chcą oni go wcześnie wyleczyć z mrzonek i śmiałych rzutów, ażeby dał się ugniatać w ich ręku według potrzeby.

Telegraf donosi, że przedstawiciele Austryi i Włoch oświadczyli Abbasowi niezadowolenie swych rządów z jego zwrotu przeciw Anglii. Nie wydaje nam się to prawdopodobnem.

Przyjęcie Jego Cesarskiej Wysokości Następcy Tronu na dworze berlińskim było bardzo serdeczne i wyraziło się szczególnie we wzniesionych toastach.

Urzędownie zaprzeczono, ażeby Wilhelm II zamierzał osobną odezwą zażądać od sejmu przyjęcia projektu reformy wojskowej, a gdyby ten środek nie poskutkował, rozwiązać parlament. Zaprzeczono również pogłosce o wywieraniu nacisku w tym kierunku na centrum przez papieża. W każdym razie rząd czyni ostatnie wysiłki, ażeby reformę przeprowadzić.

Na wyspie Hawai usunięto z tronu królowę, która chciała ograniczyć prawa przedstawicieli narodu i ogłoszono bezkrólewie. Stany Zjednoczone Ameryki północnej, chociaż jeszcze wzdrygają się, niewątpliwie włączą tę wyspę do swej rzeszy.

A więc istotnie Milan pogodził się z Natalią podobno skutkiem namowy Gladstone'a.

BADANIA NAUKOWE.

DOBORY RASOWO-SPOŁECZNE.

Średniowieczne kroniki z czasów, kiedy frankowie stanowili w dzisiejszej Francyi grupę etniczną, stojącą jeszcze odrębnie od reszty mieszkańców, dochowały nam ciekawy szczegół. Matka niejakiego Bertulfa była wielce oburzona, gdy syn jej splugawił czystość swojej krwi blondynowej germańskiej i poślubił dziewczynę, która, chociaż piękna, miała wszakże czarne włosy i brwi. W całej pełni występuje tu dawny wstręt blondynów do brunetów, a te pojęcia o pięknie fizycznem trwały długo. Niedawno Loubier przedsięwziął próbę zbadania wyobrażeń, panujących w tej mierze podczas wcześniejszych okresów średniowiecznych. Przestudyował on systematycznie wszystkie zabytki poetyckie Francyi z wieków XII i XIII, tj. wcale sporą bibliotekę, i wydobył z tych poszukiwań te same poglądy estetyczne: za piękną fizycznie uchodziła wtedy osoba wzrostu wysokiego, pleczysta, z rozwiniętą klatką piersiową, postacią wiotką, cery jasnej, z kolorami na twarzy, posiadająca włosy blond. Ówczesną odrazą przedstawicieli typu blondynowego do brunetów możemy z pewnem prawdopodobieństwem przyrównać do naszego uczucia względem wklęsłych nosów i szerokich policzków mongoła. Jak dalece stosunki te zmieniły się z biegiem czasu! Szowiniści niemieccy, tyle w ostatniem dwudziestoleciu prawiący o Arminiuszu i dziedzicznej nienawiści pomiędzy galijczykiem a teutonem, dzięki kilku antropologom spostrzegli, że zgoła nie są rasowymi potomkami tego legendowego wojownika i jego drużyny. Kroniki mówią o tych przodkach, jako o ludziach wysokorosłych, z włosami czerwonawymi na głowie, z czaszką podłużną; liczne wykopaliska stwierdziły, że fale germańskie, które toczyły się po powierzchni Europy w epoce wielkiej wędrówki ludów, składały się niemal wyłącznie z długogłowców — bezwarunkowo blondynów. A sprobujmy zbadać dzisiaj typ fizyczny ludności niemieckiej! Potomek „idejowy" cherusków (jak to stwierdziły poszukiwania w liczbie kilku milionów spostrzeżeń nad dziatwą szkolną) posiada zaledwie w małym stopniu właściwości fizyczne starodawnych germanów. Pomiary czaszek kopalnych z różnych epok ostatniego tysiąclecia wykazały, że długogłowcy ubywają stale z każdym wiekiem. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że owi bohaterzy tradycyjni i późniejsze hordy wędrowne z przykrością przyjęliby przepowiednię jakiegoś natchnionego proroka, że ich potomek — niemiec — będzie zgoła innej rasy, i to właśnie owej pogardzanej, brunetowej. Uczucie pewnego zakłopotania zapanowało w duszy kilku antropologów niemieckich, a mógłbym przytoczyć mnóstwo cytat i szczegółów, zakrawających niekiedy na żart, jak ten i ów usiłuje pogodzić dzisiejszą rasowość niemców z właściwościami dawnych teutonów. Przejdźmy jednak do rzeczy. Typ blondynowy w środkowej Europie uległ w ciągu wieków zanikowi, a był on panującym u ludów z epoki wielkiej wędrówki. Znikał przedewszystkiem pod wpływem praw naturalnych krzyżowania. Jeżeli mieszają się dwa typy w jednakowej liczbie, to już po kilku pokoleniach równość ta ustaje; naprzód bowiem płodność każdego nie jest jednakowa, a następnie w zmieszanym związku małżeńskim właściwości jednej i drugiej rasy nie są przekazywane z równą mocą. Weźmy np. 100 blondynów i 100 krótkogłowców śniadych; po dostatecznie długiem krzyżowaniu pierwsi będą stanowili 25%, drudzy 75% ludności pochodnej. Prócz naturalnych dążności krzyżowania, działały tu jeszcze czynniki inne, natury już czysto społecznej. Szlachta feodalna, przeważnie typu blondynowego, ginęła w wojnach nieustannych. I dzisiaj to wyrugowywanie blondynów odbywa się w ciągu dalszym. Prócz krzyżowania z krótkogłowcami, nadto działają wpływy czysto społeczne. Praca Ottona Ammona *) jest w tej mierze przyczynkiem ciekawym. Towarzystwo antropologiczne w Karlsruhe wydelegowało komisyę do przeprowadzenia studyów nad pociąganymi do rewizyi rekrutami. Ammon jest jej sekretarzem i właśnie na podstawie danych, zebranych przez tę komisyę, wykończył pracę swoją. Naturalnie zasługują w niej na uwagę przedewszystkiem same fakty, a nie teorya, ku której nagiąć je usiłuje. Zresztą może jest ona słuszną, lecz dotychczas zgoła nieudowodnioną.

Poszukiwania Ammona dotyczą tylko arcyksięstwa Badeńskiego. Ogniskiem krótkogłowości wygórowanej (hyperbrachycefalii) jest pasmo Czarnego lasu; żywioły zaś długogłowe przeważnie siedzą na porzeczach Dunaju i Renu. Jest to wynik procesów dziejowych. Niegdyś w Badenie zamieszkiwali celtowie krótkogłowi, używający podczas wielkiej wędrówki języka łacińskiego. Na tę ludność przyszedł najazd teutońsko-blondynowy, który przedewszystkiem zajął doliny nadrzeczne, mieszkańców zaś pierwotnych wyrugował w góry. Jeszcze w w. X niektóre gminy górskie używały języka łacińskiego. Z czasem nastało krzyżowanie i wsiąkanie blondynów w ludność czarnoleską, które zmniejszyło nieco krótkogłowość, wytworzywszy jasne włosy i błękitne oczy w stopniu bardzo ob-

---

*) *La selection naturelle chez l'homme*, w ostatnim zeszycie czasopisma *Anthropologie*.

---

z pokurczonemi nogami, papierową twarzyczką i nieproporcyonalnie wielką głową. Żyjący dowód wściekłej pasyi ojca i skutek owego prania, które tak często sprawiał matce.

Kłoda dzieci swoich nie lubił. Jacka pogłaskał czasem... na Florka patrzeć nie chciał.

— Bodaj cię choroba zdusiła — mawiał, ilekroć małe chłopię pod nogami mu się znalazło. Pokraka nie dziecko. Won mi z oczów!

Stara brała dziecko niosła pod piec i wzdychała. W własnej chacie niewolnicą była.

Maryśka tylko nie lękała się szwagra. Odważna dziewucha nie wahała się chwycić siekiery w rękę, gdy się do niej z zalotami posunął. Wiedziała, czemu się z Jagną ożenił.

Mówiła siostrze nieraz: Jaguś, Boga w serce weź, rozum miej... za tego drągala nie idź... bo zginiesz. Zmarniejesz ty, zmarniejemy my przy tobie.

Ano, nie słuchała. Podobał się jej chłop tęgi, urodziwy i oto ma pokaranie.

Kłodę opór Maryśki roznamiętniał więcej jeszcze.

Niejedna przecie gładka dziewucha sama mu w ręce lazła... a ta oto, jak opętana ucieka od niego.

Chęć posiadania jej zmieniła się na obłęd jakiś, który go dniem i nocą prześladował.

Widział te czarne, przepaściste oczy nawet na dnie kieliszka z gorzałką, którą robaka zalewał.

— Bodajeś się była w ziemię zapadła, nimem cię dojrzał — mówił nieraz chłop, zgrzytając zębami. Ino czekaj, czekaj, jeszcze cię uchwycę. Ale jak uchwycę... o rany boskie, jak uchwycę!..

Prostował się, wyciągał ręce, ściskał w kułak aż trzeszczały, oczy ziejące ogniem wpijał w dziewczynę.

Ona śmiała się... pluła mu w twarz i uciekała, nim się opamiętać zdołał.

* * *

Wieczór zapadał cichy.

Rozkoszne omdlenie ziemię w uścisk miłosny objęło, najlżejszy wietrzyk nie poruszał drzew, ani marszczył powierzchni jeziora, ujętego w zielone ramy łąk kwiecistych.

Na zachodzie różowił się jeszcze pasek zapadłego za jeziorem słońca. Złociste obłoki piętrzyły się nad nim. Seledynowy kolor nieba rozpływał się w coraz łagodniejszą barwę, lekki mrok otulał ziemię. Z Błażejowej chaty wybiegła Maryśka.

Obejrzała się niespokojnie, potem szybkim krokiem dążyła do sadu, przeskoczyła płotek i na łąkę wyszła. Bose jej stopy tonęły w wilgotnej trawie, depcząc nielitościwie pełne główki różowej koniczyny. Ścieżki w tem miejscu nie było. Biegła tak z kwadrans, aż blada twarz zróżowiła się jej lekko, oczy nabrały żywszego blasku i obracały się trwożliwie już to na przestrzeń przebytą, już to na kępę drzew rysującą się wyraźnie, choć jeszcze daleką. Kępa ta stała nieco na wzgórzu. Jedyny to był wzgórek i jedyne drzewa na ogromnej łąk przestrzeni.

Za łąkami jezioro rozpostarło swe nurty przejrzyste, aż gdzieś daleko zlewało się z niebem, tak czystem i błękitnem, jak ono.

Łąka stawała się coraz wilgotniejszą. Nogi Maryśki grzęznąć zaczęły w pulchnej ziemi i krok jej stał się powolniejszym.

Gniewna zmarszczka przecięła czoło, z którego w szybkim biegu zsunęła się chustka czerwona.

Ciemniało coraz więcej. Różowy pasek i złote obłoczki przyjęły teraz niebieskoszarawą barwę. Dziewczyna podwoiła kroku. Dobiegła wreszcie. Wsunęła się w gęstwinę drzew, lekka jak sarna przemknęła po wzgórzu i znalazła się nad brzegiem jeziora, z drugiej już strony owej kępy, co się rozsiadła nad brzegiem. Stanęła i obejrzała się...

titym. Ammon usiłuje teraz zbadać, jaki wpływ wywiera na tę ludność Czarnego lasu tegoczesne wychodźctwo za zarobkiem, ściągające tłumy wiejskie do miast. Otóż okazuje się, że miasta badeńskie są jakby pewnego rodzaju sitem, przez które przechodzą z pośród ludności wiejskiej nie wszystkie typy równomiernie, lecz jedne obficiej, inne — skąpiej. Przedewszystkiem jednak zaznaczmy, że studya Ammona nad pochodzeniem rekrutów w miastach badeńskich dowiodły, że tu również miasta, gdyby nie były systematycznie zasilanie przez ludność wiejską, istnieć nie mogłyby. J. Hansen, na podstawie statystyki z grodów niemieckich, wykazał, że ludność ich szybko zmniejsza się niemal w ciągu dwóch pokoleń. To samo wypada z badań Ammona. Rozdziela on rekrutów na 3 kategorye: tych, którzy urodzili się na wsi i później przyszli do miasta — przybyszów wiejskich; urodzonych w mieście, ale których rodzice są jeszcze pochodzenia wiejskiego — półmieszczan; wreszcie mieszczan, tj. tych, których już rodzice urodzili się w obrębie miasta. Te różne kategorye dostarczają, w szeregu bardzo szybko spadającym, coraz mniejszej liczby rekrutów, autor zaś sądzi nawet, że gdyby posunięto to wyróżnianie dalej, nie znalezionoby chyba ani jednego rekruta, którego pradziadek urodziłby się w mieście. Według niego miasto wciąż wymaga odpowiedniego zasilenia z okolic wiejskich.

Powstaje zatem pytanie, jakie żywioły rasowe przybywają ze wsi do miasta. Wskaźnik szerokości czaszkowej wynosi w Czarnym lesie 83,3; wśród fali przybyszów do Karlsruhe 83,1; podobną i tego samego rodzaju różnicę spostrzegamy we Friburgu. Chociaż drobna, jest ona faktem i gdyby sprawdziła się na większym obszarze, dowodziłaby, że do miasta ciągną raczej długogłowcy, niż krótkogłowcy. I w rzeczy samej, gdy na ludność wiejską przypada 12,2% długogłowców, wśród wychodźców jest ich już 14,9%; przeciwnie obfitość krótkogłowców zmniejsza się, bo z 38,3% na wsi spada do 33,3% wychodźców. Co do włosów, jest na wsi jasnych 44,2%, wśród przybyszów do miasta tylko 32%; oczów błękitnych znajduje się u ludności wiejskiej 63,5%, wśród zaś wychodźców 58,5%. Z porównania tych cyfr okazuje się, iż ludność Czarnego lasu — pod wpływem wychodźctwa — wzrasta w włosy jasne i oczy błękitne, natomiast długogłowość wśród niej się zmniejsza. Autor usiłuje te fakty przedstawić w świetle teoryi aryjskiej Lapouge'a, którego jest ślepym i bezwarunkowym wyznawcą. Zdaniem jego, obecna ludność czarnoleska stanowi owoc skrzyżowania się długogłowców i krótkogłowców, a nadto przedstawiając u mieszańców różne szczególne zmieszania się i rozmieszczenia cech prarodzicielskich, jednocześnie posiada rozmaitą naturę. Mianowicie przedsiębiorczy charakter długogłowych blondynów przechodzi nie na wszystkich mieszańców, ale tylko na tych, którzy zatrzymali długogłową budowę czaszki; tymczasem inni, którzy zachowali pradziadowskie jasne włosy i oczy błękitne, ale mają czaszkę krótką, przedstawiają charakter przodków krótkogłowych. A zatem, jeżeli inne warunki pozostają jednakimi, wśród wychodźców winny przeważać ludzie energiczni, nieobawiający się nieznanych losów w mieście i zgodnie z teoryą przeważają właśnie posiadający czaszkę długą. W ten sposób wychodźctwo do miasta wydziela z ludności Czarnolesia przedewszystkiem długogłowców, którzy, przyciągnięci przez wielkie ogniska życia, zostają tutaj poddani wszystkim ujemnym skutkom życia miejskiego i w wirze jego po kilku pokoleniach wymierają. A zatem miasta spełniają obecnie tę samą rolę względem szczątków dawnego żywiołu blondynowego, tych, którzy zachowali odpowiednią budowę czaszki, jaką spełniały w wiekach średnich nieustające waśnie i rozterki — są fundamentem szczególnego doboru rasowego.

Teraz, kiedy dowiedzieliśmy się, kto ze wsi badeńskiej wychodzi do miast, zwróćmy się wraz z Ammonem i przyjrzyjmy tutejszemu procesowi doboru rasowego. Autor przypuszcza (ku czemu, zaznaczmy, nie ma najmniejszego prawa), że właściwości rasowe przychodniów każdego pokolenia są jednakie, a zatem że rekruci z pośród przybyszów, ojcowie rekrutów, urodzonych w mieście, wreszcie pradziadowie i dziadowie tych, których ojcowie już przyszli na świat w obrębie murów miejskich, nie różnili się zgoła od siebie. Jeżeli więc pomiędzy temi trzema kategoryami rekrutów istnieją w chwili obecnej różnice, są one już następstwem tego, że jedne żywioły rasowe uległy wcześniej w walce miejskiej o byt, natomiast inne okazały się oporniejszymi. Zatrzymajmy się nad niżej przytoczoną tablicą, którą zaczerpnął autor ze stosunków karlsruheńskich (podobnie brzmią friburskie), a która podaje obfitość procentową czaszek długich i krótkich oraz budowy blondynowej (jasnych włosów i cery i oczów błękitnych) u różnych kategoryj rekruckich:

	czaszki długie	czaszki nad-krótkie	jasna cera
1) rekruci przychodnie .	14,9%	33,2%	69,4%
2) rekruci z ojców pochodzenia miejskiego . .	25,9%	18,4%	70%
3) rekruci z dziadów pochodzenia miejskiego .	33,3%	12,4%	75%

Widzimy przeto, mówi Ammon, jak każde pokolenie, przebywając w miastach, pozbywa się żywiołów krótkogłowych, a natomiast staje się zasobniejszem w czaszki długie i cerę jasną. Jeszcze wyraźniej to wyrugowywanie jednych typów a wytrwanie innych uwydatni się, jeżeli porównamy, ile z każdych 100 długogłowców i 100 nadkrótkogłowców pozostaje u rekrutów kategoryi trzeciej, tj. ostatniej. Otóż według wyliczeń Ammona, z pierwszych dotrwało tylko 19,5, z drugich tylko 2,1. To wykazuje — wnioskuje on dalej — że różne składowe części fali wychodźczej ze wsi ulegają w mieście niejednakowemu losowi. Wszystkie żywioły po pewnym czasie zanikają, ale z nader odmienną prędkością. Blondyni okazują dziewięć razy większą oporność. Wrodzona energia pozwala prędzej im się wybić na wierzch i zająć lepsze stanowiska, podczas gdy mało przedsiębiorczy krótkoglowiec zanika i ginie w mieście jak śnieg pod promieniami słońca wiosennego, pozostając na dole drabiny społecznej.

Słowem, walka przemysłowo-społeczna w miastach jest jedynie zamaskowaną walką wzajemną ras pomiędzy sobą—oto ostateczny wniosek autora. Usiłuje on go poprzeć jeszcze faktami, zaczerpniętymi z pomiarów na głowach uczniów w zakładach wyższych. Istnieje w Niemczech prawo, że kto ukończył sekstę (jedną z niższych klas), ten służy w wojsku tylko rok jeden. Z tego powodu po skończeniu tej klasy mnóstwo porzuca szkoły i bierze się do zajęć praktycznych. Otóż czynią to żywioły przedewszystkiem krótkogłowe, które też zmniejszają się liczebnie w każdej klasie wyższej. Wszystko dotychczas jest w zgodzie z teoryą Ammona. Atoli okazuje się, że obfitość żywiołów krótkogłowych w szkołach, a zatem wśród grup zamożniejszych, jest większa, aniżeli u rekrutów. Autor usiłuje wyjaśnić tę sprzeczność — większą pracowitością krótkogłowców, nie spostrzegając, że staje w sprzeczności z dawniejszymi swoimi wywodami, iż długogłowcy zajmują lepsze stanowiska. Zresztą nie idzie nam o to, czy teorya Ammona jest słuszna, lecz przedewszystkiem o zaznaczenie

---

Małe czółenko kołysało się u brzegu, między trzciną i sitowiem.

— Hu ha, hu ha! — zabrzmiało wołanie wśród drzew.

— Hu ha, hu ha! — odpowiedział głos męzki.

Zaszumiała trawa pod stopami młodego chłopca, który jak wiewiórka zsunął się z drzewa na ziemię.

— Maryś! — zawołał.

Dziewczyna poskoczyła. Czarne oczy wpatrzyła w chłopca, płomienne, wilgotne.

— Myślałem se, co nie przylecisz — rzekł chłopak — bez to, co ta wątroba nie powlókł się na jarmark do Tczewa. A kajże on?

— Śpi na ławie pod piecem — odparła dziewucha. Musi pijany.

Chłopak pociągnął Maryśkę w głąb gaju. Wysokie sosny, olchy i jesiony tworzyły tu ustroń zaciszną, od ludzkich oczów odgrodzoną jeziorem i olbrzymią łąk przestrzenią. Na kępie mrok już był. Jezioro przybierało ciemno-stalową barwę... lilie wodne zamykały śnieżne kielichy... Cisza była dokoła.

Maryśka przymknęła oczy. Chłopiec gwałtem chciał zajrzyć w głąb tych pałających jak noc czarnych źrenic.

— Maryś — szeptał — spójrz jeno... spójrz, bo pożałujesz.

Omdlewający uśmiech zarysował się wkoło pąsowych warg dziewczyny.

Z bezwiedną kokieteryą salonowej zalotnicy ciemne firanki rzęs opuściła więcej jeszcze. Twarz jej miała teraz barwę gorącą. Rozkoszny dreszcz wstrząsnął ciałem.

Chłopak coraz mocniej tulił ją do siebie. Chciwe pocałunku usta muskały leciutko czoło, oczy i włosy dziewczyny.

Lekki wietrzyk przemknął po wierzchołkach drzew, zmarszczył toń jeziora, poruszył trawy, czółenko zakołysało się na falach.

Szelest ten zbudził dwoje młodych z miłosnego upojenia.

Świecące oczy Maryśki rozszerzyły się trwogą.

Chłopak obejrzał się... wytrzeźwiał.

— No i cóż, Maryś? — pyta. Cóż on?

— Pije ta i bije — odparła.

— A no, więc jakże? Ty będziesz zawdy z nim w jednej chałupie siedzieć?

— Toć będę — rzekła niechętnie.

Drżała jeszcze pod wrażeniem pieszczoty.

— Będę — powtórzyła z uporem. A bo co?..

— No nie — rzekł chłopak. Ino se źle poczynasz. Zamaluje cię kiedy w łeb i tyła.

— Juści... zamaluje — odrzekła z przechwałką. A nie mam to siekiery?

— Maryś, ej Maryś... Boga się bój!.. Zabaczyłaś, co w katechizmie stoi: nie zabijaj... A ksiądz proboszcz co na jambonie gadał... zabaczyłaś?.. Boga się bój, do spowiedzi idź...

— Głupiś — burknęła. Co ta proboszczowi do tego. Niech się ino ten psia dusza do mnie przytknie... to tak lunę siekierą, aże łeb z kadłuba spadnie. Zobaczysz.

Chłopak odsunął się parę kroków, jakby ze wstrętem. Zdawało mu się, że widzi na rękach dziewczyny krew.

— Maryś — rzekł prosząco — ty tego nie rób. Bóg by cię pokarał... byłabyś zbójczyni. Na co ci to? Zejdź mu lepiej z oczów, w służbę idź... a potem...

— A potem — wyrwała mu z ust dziewczyna, drżąca, niecierpliwa. Co potem?

Tchu jej zbrakło. Wpiła się oczami w twarz chłopaka.

Milczał. Widać było, że chciał coś rzec i wahał się.

Dziewczyna przysunęła się do niego i łasić zaczęła, jak młode kocię.

— Jędrek... — szeptała — mój Jędrek...

Na kępie zmrok już siadł gęsty. Przez gałęzie drzew przedzierały się wązkie smugi wschodzącego księżyca i przebijała gładka jak lustro toń jeziora. W zmroku tym paliły się jeno oczy dziewczyny. Jak robaczki świętojańskie migały przed chłopakiem, kusiły a kusiły.

nowej hypotezy naukowej. Ażeby powiedzieć coś o wartości samych faktów, należałoby je sprawdzić w innych miastach. Ammon poprzestał tylko na Friburgu i Karlsruhe. Jest to nazbyt mało i nikt nie ręczy, że prosty przypadek nie ustawił cyfr. Następnie należałoby mieć istotne dane o naturze rasowej ubiegłych pokoleń, z których pochodzą miejskie kategorye rekruckie. Tylko wtedy, kiedy wszystkie te zagadnienia otrzymałyby odpowiedź w duchu wywodów Ammona, sama hypoteza nabrałaby większej wagi. Dotychczas posiada ona tylko znaczenie jako zachęta do czynienia odpowiednich poszukiwań.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Kazimierz Gliński. *Splątane nici*, szkice i obrazki. Teodor Jeske Choiński. *W Pętach*. Powieść współczesna.

Poetą „z bożej łaski“ jest p. Gliński. Pisuje wiersze sentymentalne lub zamaszyste i niepozbawione werwy. Muza jego gości w *Kuryerach* i pismach ilustrowanych. W przestankach pomiędzy występami z „mową bogów“ kropi nowele, obrazki i szkice. Twórczość jego objawia się w obsłonkach romantyzmu, pomysłowość płynie łożyskiem z dawien dawna wyżłobionem, uczuciowość płomykami swymi ogarnia ludzi i stosunki, wykrojone podług mody banalnej. Twórczość ta stanowi specyalny gatunek literatury, przeznaczonej dla istot zdolnych tylko do kwilenia uczuciowego. Spożywcami takich płodów są stare damy, przeważna część szwaczek i modniarek, panienki z „białego dworku“ i miejskie bez określonego zajęcia, najliczniejszych jednak dostarcza mnoga sfera, szczęściem wciąż ubywająca, „przedmiotów w spódniczkach.“

Rysunek beletrystyczny przedstawia obraz stosunków zawsze mniej lub więcej niedokładny i wyidealizowany, uproszczony i niezupełny, pozbawiony wielu znamion rzeczywistych. Po cóż więc jeszcze zarzucać na życie jaskrawą płachtę oklepanych i sztucznych barw? Ale są jeszcze ludzie, którzy lubują się właśnie w takich cackach. Nie możemy szanować i cenić tych upodobań, lecz musimy liczyć się z nimi.

Zbiór obrazków rozpoczyna szkic „Filipek.“ Trzymany on jest w formie opowiadania. Treść przesadnie humorystyczna: bohaterem właśnie jest ów Filipek, młody człowiek, który zamieszkał u swego przyjaciela, korzystał z wszelkich wygód, gospodarza wziął pod kuratelę, wydzielał mu pieniądze, nareszcie ożenił go a sam pozostał przy młodem małżeństwie, jako przyjaciel domu.

„Pan radca“ kreśli młodzieńca, prześladującego zdaleka śliczną kobietę, której nie udaje mu się ujrzeć zblizka. Zwierza się on ze swych kłopotów przed panem radcą, który zachęca go, ażeby wytrwale dążył do celu. Urocza nieznajoma okazuje się wreszcie żoną radcy.

W „Starym kawalerze“ widzimy starego jegomościa, zamożnego, spędzającego całe wieczory na grze w karty. Raz wraca on niezwykle wcześnie do domu, bardzo zmartwiony i przygnębiony; okazuje się, że wskutek starości i niedołęstwa został usunięty z koła winciarzy, którego był stałym i długoletnim członkiem. Rozżalony przegląda pamiątki dawnych swych dziejów, epoki kawalerstwa i podbojów miłosnych. Myśl o zmarnowanem życiu, tęsknota za rodziną srodze mu dolegają.

„Kowalowa Góra“ przedstawia dwoje starych małżonków, kowala i jego żonę, zamieszkujących kuźnię, położoną opodal od dworu i wioski. Stary pamięta lepsze czasy, kiedy dwór huczał weselem i ustawiczną hulanką. Podług legendy, nad domem tym zaciążyło przekleństwo losu. Wnuk opoja zamierzył ożenić się i zażądał od kowala wykucia mu mieczyka, jako upominku przedślubnego. Roboty odbywały się nocą, przy wtórze wesołej piosenki, pamiętającej jeszcze dawne, hulaszcze czasy. Do wsi zakradło się podejrzenie, że kowal pracuje pospołu z dyabłami; postanowiono siedzibę jego zburzyć. Chłopi wyruszyli do szturmu z kamieniami, wstrząśnięty stary dom przywalił wszystkich, znajdujących się wewnątrz.

„Murlaj,“ to stary cygan, na spowiedzi przed staruszkiem księdzem zwierzający się z dokonanego niegdyś morderstwa nad młodą dziewczyną w sposób zdradliwy i wiarołomny; dziewczyna ta była narzeczoną teraźniejszego księdza. Murlaj naturalnie umiera pojednany z Bogiem i ludźmi.

W obrazku „Kolędy“ mamy dwie sceny z życia: w pierwszej widzimy kilku studentów, którzy snują lotne plany na przyszłość i wynurzają się ze swych marzeń i dumań; w drugiej spotykamy tychże ludzi po latach kilkunastu, odartych z blasków młodości i srodze dotkniętych przez wrogie losy.

„Marek Ciupała“ — to parobczak wiejski, wielkiej urody, który otrzymał od ojca spory zasób gotówki i duży szmat roli. Nie zajmuje się on gospodarką, lecz hula i trwoni pieniądze. Zakochała się w nim hoża dziewczyna, Kasia, która pragnie go nawrócić na drogę cnoty i obowiązków. Kiedy Marek spity śpi w konopiach, ona żnie jego zboże. Pod urokiem wielkiej i idealnej miłości Kasi Marek częściowo się przeobraża, powraca do zajęć i wyznacza dzień ślubu. W stanowczej jednak chwili zrzeka się widoków cichego szczęścia wioskowego, sprzedaje niemcom ziemię i podąża do Warszawy, gdzie spodziewa się w służbie u panów pędzić wesołe życie. Marzenia te nie prędko się urzeczywistniają. Otrzymał nareszcie miejsce stangreta u hrabstwa, dzięki wstawiennictwu hrabiny, której się podobał dorodny chłop. Widocznie ona go protegując, zachodzi często do stajni, nakoniec daje mu pachnące mydło, z poleceniem wymycia się i przyjścia do niej w nocy. Ale nie powiodło mu się, stłukł jakieś zwierciadło, rozbudził hrabiego i został wypędzony jako złodziej. Porzuciwszy Warszawę, udał się do rodzinnej wioski, gdzie u progu jej padł martwy.

Naszkicowaliśmy tylko treść „Marka Ciupały.“ Dziwić się należy, że obecnie, kiedy nasza znajomość ludu i jego psychologii dosięgła tak wysokiego stopnia, mogą się pojawiać takie wypracowania.

„Ave!“ — to dzieje krótkotrwałej i nielitośnie rozwianej miłości młodego nauczyciela wiejskiego, doktora filozofii, sentymentalnego ludowca, idealisty, skopiowanego z jakiegoś banalnego i bezbarwnego wzorku, oraz młodej i pięknej arystokratki, czyniącej zeń przedmiot flirtu i dogodnej rozrywki podczas nudnego pobytu na wsi.

Godzi się zapytać, kiedyż nas nareszcie powieściopisarze przestaną udręczać malowaniem szlachetnych i idealnych młodzieńców, gubionych przez „kobiety bez serca“? Jest to już temat całkiem przedawniony.

— Jędrek — szeptała coraz ciszej. Co potem? Coś chciał rzec... powiedz ino... mój Jędrek.

Chłopak porwał dziewczynę i całować zaczął. Pocałunkami tymi zamykał jej usta, bo odpowiadać nie chciał. Co miał gadać, że on żenić się nie głupi, dopóki szwagier jej nie spłaci.

Dziewczyna pod wpływem pieszczot zapomniała o wszystkiem i nie pytała więcej.

Szelest łamanych gałęzi przestraszył ich.

— Co to, Jędrek? Co to? Musi kto jest na kępie — szeptała przerażona. O rety! Aby ino kto nie zobaczył, co ja tu jestem z tobą. Polecę duchem do domu, bo oto zmrok się robi. A kiej ja cię teraz zobaczę, Jędrek?

Chłopakowi schadzka na kępie do gustu przypadła.

— Przyjdę wieczorem w niedzielę — odpowiedział. A ty przyjdziesz?

— Przyjdę — odparła, spuszczając oczy przed płomiennym wzrokiem Jędrka. Żeby ino ten psia wiara polazł wcześnie do karczmy.

Przytuliła mu się raz jeszcze do piersi i rozstali się.

W chałupie ciemno już było, gdy wróciła.

— Układę się w oborze — pomyślała. Matus by się obudzili i pytali, kaj byłam.

Wsunęła się do obory, przelazła za przegrodę dla cieląt i ułożyła się na snopku słomy. Sen zmorzył ją wkrótce.

Drzwi obory otworzyły się cicho.

Wysoki, barczysty chłop wsunął się ostrożnie i obejrzał dokoła.

Psisko jakieś do nóg mu przypadło i ujadać zaczęło.

Dziewczyna zerwała się ze snu. Przy świetle księżyca, wpadającego do obory przez małe okienko wyrznięte w ścianie, ujrzała stojącego przy drzwiach Kłodę.

— Moruś! — krzyknęła na psa — a huzia go!..

Ale chłop schwycił psa za kark i wyrzucił z obory, zasunąwszy mocno drzwi zaporą.

Maryśka zaczęła krzyczeć.

Chłop jednym skokiem przesadził ogrodzenie i w żelaznym uścisku gruchotał jej ręce.

— Nie drzyj se gęby po próżnicy—rzekł. A nie, to ci ją gałganem zatkam. Kury pieją na północek, ludziska śpią jak zarznięci. Próżno będziesz się darła. Stul gębę! — krzyknął rozwścieczony, bojąc się, aby krzyk jej nie sprowadził stróża nocnego. Stul gębę, bo cię zaduszę, gadzino.

Żelaznymi palcami objął szyję Maryski.

Groźba poskutkowała. Śmiertelne przerażenie sparaliżowało jej nerwy.

Oddaj Bogu grzeszną duszę — przeleciało przez głowę nieszczęśliwej.

Chłop odjął wreszcie palce, ściskające szyję dziewczyny.

— Ha! mam cię! — szeptał — mam jagódko! Nie będziesz już po kępie hulała. Jędrek cię po mnie nie weźmie, nie... Ej, Maryś, Maryś, jaka ty galanta. Jak ja czekał cierpliwie tyla roków. Nie bój się, nie... Spojrzyj jeno na mnie. Maryś, ej Maryś! Nie bądź ato głupia. Jagna ledwo dycha, pewnikiem zamrze niedługo, to się z tobą ożenię. No i co Maryś, dobrze?

Przytulił ją silnie i całować zaczął.

Maryśce krew buchnęła z wściekłości do oczów, do czoła. Jęła się ciskać, szamotać; chłop silny był, ale jej rozpacz i wściekłość dodawała siły. Ugryzła go w policzek, chłop ryknął jak zwierz rozjuszony i chwycił zębami jej ucho. Dziewczyna omdlała z bólu.

(D. c. n.).

„Przeklęty ród“ przedstawia arystokratyczną rodzinę, uginającą się pod przekleństwem losu.

Cała książka składa się z takich zwietrzałych motywów, ujętych w ramki obrobienia niesmacznego i romantycznego. Obrazowanie natury tylko odznacza się pewną świeżością i pewnym wdziękiem artystycznym. Twórczość literacka nawiązuje nici sympatyi pomiędzy nami a całym światem ludzkich uczuć i wyobrażeń. Czyż może ona spełniać to zadanie, gdy rozrzewnia czytelnika do sztucznych i fikcyjnych postaci?

P. Choiński przedstawia dosyć ciekawy okaz śród naszej rzeszy literackiej. Robotami swemi, bądź to w postaci artykułów publicystycznych, bądź sprawozdań krytycznych, wreszcie powieści i dramatów, zalewa niwę czytelniczą. Nie można odmówić mu pewnej zdolności w średniej mierze. Ale na nieszczęście nie chce pogodzić się on z tą swoją miarą i gwałtem wdziera się ku wyżynom. Wysiłki takie wywierają prawdziwie komiczne wrażenie. P. Choiński zawsze występuje w bojowym rynsztunku, zawsze gromi kogoś lub coś zwalcza. Widzieliśmy go wojującego jako filozofa, historyka literatury, publicystę, krytyka, przewódcę młodego konserwatyzmu itd. Obecnie zużywa swoją energię głównie, jako powieściopisarz.

„The proof of the pudding is in the eating.“ Skosztujmy więc puddingu powieściowego, przyrządzonego przez p. Ch.

Wl. Topoliński, potomek rodziny obywatelsko-szlacheckiej, po ukończeniu wyższych studyów agronomicznych w kraju, wyruszył zagranicę dla dopełnienia swej wiedzy fachowej i wogóle dla dokładniejszego obeznania się z „najnowszymi prądami,“ których jest czcicielem bezwzględnym i dogmatycznym. W Pradze zetknął się z dawnymi kolegami szkolnymi: Borowskim cynikiem, czelnym wyznawcą kultu używania i nadużywania życia, który teorye pozytywizmu i materyalizmu pojął, jako wyzwolenie się z pod wszelkich reguł obowiązkowości moralnej i społecznej, uważającego życie za arenę uciech zmysłowych i samolubnych, oraz Piwońskim, zamiłowanym przyrodnikiem, charakterem szczerym i ujmującym, wyznawcą nauki ścisłej i metodycznej, a z pewnym lękiem patrzącym na bujania metafizyczne. Topoliński powiada: „Byliśmy wszyscy trzej wychowańcami epoki, zwanej u nas pozytywną. Serca nasze wyrywały się do wiedzy, niezawisłej od żadnych powag, wyzwolonej z pod wszelkiego nadzoru. Bunt rozumu przeciw tyranii swobodnej myśli, bezwzględnej krytyki, przeciw tradycyom ciała, przeciw duszy, przesłonił nam ideały zgasłych pokoleń. Nie miłości, nadziei, nie wiary pragnęliśmy dla siebie i bliźnich, ale przedewszystkiem i tylko... prawdy, światła, wiedzy.“ Słowa te odrazu odsłaniają nam właściwą dążność powieści i drogi, jakiemi potoczą się dalsze losy bohatera. Zamiast przedmiotowego badania szamotań się z wątpień duchowości, choćby popolitej i niegłębokiej, mamy przed sobą zlepek krzykliwych i niezdarnych napaści na naukę współczesną, jej metody i zadania. Zarzuty, stawianie tej nauce, brzmią odgłosem skarg i gromów z podwórka wierzeń martwiejących i niekrytycznych. Buntny przeczenice i apostoł myśli niezawisłej, jakim jest Topoliński podług autora, zdradza napuszoną arogancyę i niemoc umysłową. Na przemian z porywami nieokreślonymi i górnymi pojawiają się w nim uczucia małości i znikomości ludzkich dążeń i zabiegów. Do nauki ma on żal nieutulony, iż nie zdradziła przed nim swych tajników, a nie odczuwa potrzeby i nie ma nawet odpowiedniej siły do metodycznego i celowego walczenia z naturą, do stopniowego i mozolnego wyświetlania zagadek i tajników. W życiu nie widzi żadnych wyższych celów i pobudek, w świecie nie może dojrzeć względnej harmonii i konieczności ukrytej pod powłoką luźnych i przypadkowych zjawisk. Całemu wszechświatowi przygląda się z kojca uczuć i popędów wyłącznie indywidualnych. Jego istota duchowa zabagniona jest ograniczonością, pretensyonalnością, ciasnotą myślową i moralną. Trzeźwość i praktyczność wytłaczają piętno na każdym jego postępku. Objąwszy zarząd majątkiem, postanowił być gospodarzem czynnym i energicznym, w stosunkach ze służbą sprawiedliwym i miłosiernym, ale bawić się w sielankę nie miał zamiaru. Wiedziałem— dodaje — że robotnik wiejski szanuje, tak samo jak żaczek szkolny, tylko tego zwierzchnika, którego się obawia. Teorya pesymizmu posłużyła mu w tym razie za płaszcz dla pogardliwego pomiatania podwładnymi i wyzyskiwanymi. Lekceważąco spoglądał także na swych sąsiadów, którzy wszyscy należeli do kasty „dobrze urodzonych i uposażonych.“ Jest to rzeczywiście umysł pospolity, niezdolny ująć różnolitego chaosu zjawisk w pasmo uogólnień. Całą naukę utożsamia z kierunkiem materyalistycznym, który „nic stworzył właściwie od czasów Abderyty nic nowego, wynalazł tylko świeże metody, indukcyę, obserwacyę, eksperyment, ale w istocie swej, nie posunął się ani na krok naprzód.“ Z frazesu tego wspaniale przeziera głęboka „mądrość“ naszego bohatera. Miłości także nie uznaje, widzi tylko ubiegania się samców o względy samic. Panu Ch. mimowolnie udał się obraz płytkiej duszy szlacheckiej, przepełniony pierwiastkami postępu liberalnego, owiany tanim i zdawkowym pesymizmem.

Jest to prawdziwe hamletyzujące prosię szlachecko- burżuazyjne. Tacy „plebejusze umysłu i serca“ z pokostem powierzchownie nabytej nauki, a z wielkiemi wymaganiami od życia i społeczeństwa, stanowią obecnie gatunek dosyć liczny. Na ślamazarne i żałośne utyskiwania Topolińskich, że istota ludzka wciąż zostaje w błędnem kole odwiecznego znaku zapytania, można odrzec, że nauka nie jest fontanną olejku różanego, przeznaczonego dla szczęśliwych dzieci, lecz jest to otchłań, głębsza niż ocean, której tajniki dostępne są tylko dla przedsiębiorczych i wytrwałych nurków. Życie podług recepty poziomego utylitaryzmu i teoryi: „tyle szczęścia ludzkiego, ile go w życiu rozkoszy doczesnych“ nie zawsze jest powabne, sprowadza ono często niesmak, a w głębszych naturach rozczarowanie wewnętrzne. Człowiek potrzebuje jakichś karbów, dogmatów, jeśli nie może być świadomym hołdownikiem ideałów wyższego rzędu. Puszczony samopas błądzi po omacku lub też zadawala się korytem uciech tanich i poziomych. Nic dziwnego, że życie Topolińskich to ustawiczne zapadanie się w przepaść bez dna i bez światła, w czeluście ostatecznego zwątpienia. Nie pomogą im żadne kazania, ani suty obroczek moralny, nie pomoże ciskanie zakrystyjnych gromów na naukę tegoczesną. Nauka to oręż w walce z naturą, wynik krytycznie i metodycznie urobionego doświadczenia ludzkości kulturalnej, środek dla rozpoznania i względnie skutecznego oddziaływania na otoczenie żywe i martwe. Nie można winić jej, że dusze zblazowane robią z niej użytek dowolny, wykuwają z niej pancerz dla przykrycia swej próżni duchowej i ubogiej treści moralnej. Topoliński nie potrafił się zżyć ze swem otoczeniem, pogardliwie traktując miłość idealną, twierdząc, iż nie wierzy w fantazye „rozanielonych romantyków,“ uległ jednak popędowi zmysłowo-miłosnemu do ładnej i eleganckiej panny, przystrojonej kokieteryjnie w tkaninę frazeologii naukowej i zaślubił ją. Żar zmysłowy wkrótce ostygł, więzy idealne zgoła nie istniały, nastąpiło więc całkowite rozluźnienie, co sprowadziło nareszcie rozwód. Życie stanowiło dlań pasmo uczuć, utkanych z wątpień zgrzytliwych i dociekań próżnych, myśl szybowała tylko w sferze negacyi i krytycyzmu beznadziejnego, a jednak płytkiego, wiedza była dlań gorzkiem źródłem zatrutych teoryi — musiał więc nastąpić jakiś przełom. Topoliński wpadł ostatecznie w odmęt spirytystycznych wierzeń i rojeń. Pokolenie Byronów (jako gatunek ludzki) stanowczo się przeżyło, spadkobiercy jego to gawiedź krzykliwa i samolubna, grzęznąca w trzęsawisku ciasnego egoizmu. Autor zupełnie nie odczuwa nędzy moralnej swego bohatera i jego ubóstwa myślowego, jak gdyby odzwierciadlił w nim dawne swe wierzenia i poglądy.

Powieść swoją skreślił z rutyną pisarską, a niektóre momenty napisał żywo i dosadnie.

Br. Chrz.

Z LITERATURY CZESKIEJ.

Od czasów, gdy tak zwani koryfeusze odrodzenia literatury czeskiej rozniecili w sercach młodzieży uniwersyteckiej ogień miłości dla wszystkiego, co narodowe (vlastenství), życie umysłowe i społeczne szerokiem płynie korytem. Z małego strumyka nabrzmiała wspaniała rzeka, która już zaczyna podmywać odwieczne w Czechach wyspy germanizmu. Wystawa w r. 1891 jest poniekąd dowodem wielkiego rozwoju narodowego we wszystkich gałęziach wiedzy i przemysłu, tudzież sztuki. Literatura nosi piętno Zachodu. Pierwociny tego społeczeństwa przejawiały się w stosunkach alodyalnych, które w XIII st. zamieniły się na feodalne. Mieszczaństwo niemieckie korzystało ze swobód prawa magdeburskiego, saskiego i bawarskiego. Ruchy husyckie w pierwszej połowie XV w. przekształciły cechów. Lud, mając udział w dysputach religijnych, nauczył się czytać na Biblii; odtąd zaczął myśleć. On też po upadku Czech chował tradycyę narodową, bo z łona jego wyszli mężowie, którzy wskrzesili swojskość. Pierwsi poeci wstrząsnęli upadłych na duchu. Z początku opiewali ojczyste Czechy, z czasem wyjrzawszy po za krańce swojej ziemi, ogarnęli całą Słowiańszczyznę. Dziś Wrchlicky i tak zwani realiści poszli dalej, bo ludzkość całą uznali za jeden naród. Wiek XVI, wiek odrodzenia klasycyzmu, wiejącego prądem ogólno-ludzkim, humanitarnym, wytworzył postacie do nowego gramatu Wrchlickiego p. t. *Piotr Aretino*, który właśnie żył na przełomie między barbarzyństwem średniowiecznem a epoką, wyłaniającą piękno helleńskie. Wieszcz czeski wybiega po za granice dążeń rasowych i kastowych, widzi szeroki gościniec wszechludzkości, wolny od jednostronnych zachcianek zagorzalców, którzyby chcieli wszystkich przykroić do miary swych ciasnych mózgów. Poeta dla jaśniejszego scharakteryzowania epoki wybrał formę dramatyczną, która, jak maska gipsowa, oddaje z dokładną ścisłością rysy głównego bohatera, Piotra Aretino. Jest to natura artystyczna, ze wszystkiemi cnotami i wadami swojego wieku, człowiek wielki i genialny, ale namiętny, rozpustny i zniewieściały. Schylają przed nim głowy patrycyusze weneccy i mitrami zdobni biskupi. Pałac dożów kąpie się w promieniach słonecznych. W komnatach zawieszone przepyszne makaty i obrazy. Stoją posągi niewieście w całej pełni czarujących wdzięków. Burzliwy doża tchnie pełnią życia południowego.

Inny utwór Elizy Krasnohorskiej stanowi przeciwieństwo pierwszego. Zamiast woniejących kwiatów, gorących jak piekło pocałunków, słyszymy monotonne psalmy taborytów czeskich. Jest to libretto do opery K. Bendla p.t. „Dziecię Taboru.“ Autorka przenosi nas do pierwszej połowy XV w.,

kiedy odegrał się krwawy dramat wojen husyckich, które w dziejach narodu czeskiego stworzył podwalinę nowego okresu, w perzynę obracającego stosunki feodalne, acz wznowione później przez Władysława II, wszakże nie tyle już żywotne, bo nie wsiąknęły w krew i kości narodu, kochającego swobodę. Rzecz dzieje się podczas oblężenia Naumburga przez husytów. Widzimy na scenie dwie husytki zbrojne, strzegące jeńca niemieckiego. Młodsza z nich, Hagara, dowiaduje się z ust starszej swej towarzyszki, Judyty, że jest podrzutkiem, wychowanym przez gminę taborycką, dlatego przydomkiem „dziecięcia Taboru“ obdarzoną. Przebywając wśród taborytów, słyszała ona niegdyś piosenkę matki nad kołyską. Gdy jednak Judyta zaczynała nucić, nigdy jej dokończyć nie mogła. Aliści jeniec, usłyszawszy melodyę, dociągnął piosenkę do końca. Z ust jego dowiedziała się Hagara wielu szczegółów o swojej matce, przebywającej w Naumburgu. Wdzięczna więźniowi, rozwiązuje jego pęta, aby ją zobaczyć. Wnet atoli z licznym pocztem wojska przybywa wódz taborytów, Prokop Wielki. Wojownicy pytają się o więźnia, którego mają stracić. Wtedy Judyta, chcąc ratować Hagarę, którą przeznaczyła na żonę dla syna swojego, Brzenka, sama na siebie winę bierze. Ale Hagara, dręczona wyrzutami sumienia, zjawia się na scenie i głośno siebie oskarża. Z duetu między Prokopem a Hagarą okazuje się, że ona jest córką wielkiego wodza taborytów. W Naumburgu poznaje matkę Gertrudę. Tutaj narzeczony jej, Brzeniek, ginie w pojedynku z Otonem. Matka, gorliwa katoliczka, nakłania ją do przejścia na łono kościoła. Ojciec, słysząc o tem, podejrzywa córkę o zdradę. Nieszczęsna, dręczona przez matkę i wzgardzona przez ojca, odbiera sobie życie. Zrozpaczony wódz taborytów rzuca się na martwe zwłoki swego dziecięcia i przysięga, że miasto zburzy, lecz wzruszony prośbami dziewic, które wyszły doń w procesyi, zamiaru swojego zaniechał. Oto treść dramatu, zlewającego się w jedną całość z muzyką Bendla.

Z powodu panującego dziś w literaturze realizmu, pragnęlibyśmy podzielić się z czytelnikami uwagami, które się nasunęły redakcyi *Rozhledy*, czasopisma ekonomicznego, społecznego, politycznego i literackiego. Powodem tych uwag była nagroda konkursowa na dramat dr. Polikarpa Starého, p. t. „Magdalena,“ utworu ściśle realistycznego.

Otóż, o ile realizm społeczny rad jest widziany w powieści, o tyle nielubiany w dramacie. Zależy to od publiczności, której jądro stanowią kobiety; te albowiem hołdują romantyzmowi, harmonizującemu z ustrojem psychicznym niewiasty. Jest to pewien atawizm. Już Vico zauważył, że prawo to stale przejawia się w socyologii. W najdawniejszych czasach uspołecznienia kobiety spełniały urząd kapłanek i wieszczek. Z czasem, w epoce chrześciaństwa nowoplatońskiego, zwłaszcza w wiekach średnich, stworzono kult Maryi, wiedząc, jaki wpływ kobieta wywiera na uczucia religijne. Z rozwojem rycerstwa walczono za jej honor, z rąk nadobnych odbierano pierścienie, łańcuchy i wieńce. Z upadkiem rycerstwa i powstaniem stałych armij, kobieta w salonach skupiła inteligencyę. Wiek XVIII szczególny jej hołd składał. Po kataklizmie pierwszej rewolucyi, gdy romantyzm na zwaliskach pseudo-klasycyzmu zapuścił korzenie, kobiety jak muzy helikońskie wiodły rej w literaturze. Blady, z rozwianym włosem poeta, romantyk, był dla nich rycerzem. Byron i Shelley rozbudzili ich wyobraźnię. Dziś, mimo innego zwrotu w umysłowości europejskiej, kobieta pozostała wierną czcicielką kultu romantycznego. Wiadomo z psychologii, że człowiek ucywilizowany różni się od dzikiego jeno stopniem krytyczności, stąd i między przedstawicielkami wszystkich stanów niewieścich istnieje nić, która je wiąże, mianowicie nić uczucia. I niewiasty sfer mniej oświeconych szukają w teatrze pewnego romantyzmu, usymbolizowanego w cudownych tematach o zaklętych królewnach itp. Mężczyzna z ludu po całodziennej pracy szuka w teatrze wytchnienia; dlatego też nierad ogląda na scenie prozę życia, gdzie jak w zwierciadle spostrzega swoje ułomności, które wywołują uśmiech ironiczny na ustach sąsiadów, obecnych w teatrze, co niezbyt mile oddziaływa na nerwy widza.

J. F. Gajsler.

—

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

25 stycznia.

Wystawa architektoniczna. — Wegeteryanizm — Jeszcze o utworze A. Czechowa. — Koncert maluczkich.— Lekkie traktowanie publiczności przez artystów.—Posłuchy o antrepryzie.

W muzeum pedagogicznem obecnie mieści się wystawa architektoniczna; właściwie powinnaby się nazywać budowlaną, ponieważ mniej zawiera przedmiotów cechujących architekturę jako sztukę, a więcej materyałów budowlanych. Wogóle okazy są dla przeciętnego nabywcy niedostępne. Wyjątek stanowią tylko wyroby z masy papierowej fabryki Kotomina i Bukowskiego — ornamenty lekkie, ładne i tanie; gipsowe tylko dzięki rutynie będą im dotrzymywały placu. Jużci na ozdoby zewnętrzne masa papierowa nie zda się tymczasem, ale fabryka obiecuje pracować nad pomysłem zastąpienia i w tym względzie gipsu czems tańszem i trwalszem: w północnym klimacie gips, wystawiony na zmiany powietrza, trwa nie długo.

Fiszer wystawił materyał *kryształit*, mający służyć na podłogi, ściany, stopnie schodów itp. Są to poprostu deseczki z jakiegoś cementu i piasku... Na pokaźnej stronie, zamiast szlifowania, wynalazca umocował tafelki szklanne. Sążeń kwadratowy takiej posadzki ma kosztować 22—24 rubli; cena w porównaniu z innymi materyałami niewysoka. Szkoda, że nie budzi zaufania: podejrzanie musi wyglądać posadzka, której powierzchnia pokryta wcale niegrubą warstwą szkła — tutaj chyba nie wolno chodzić zwolennikom podkówek.

Fabryki fińskie chełpią się ze swych pieców kaflowych — i słusznie; są to przedmioty trwałe, ładne, niektóre można zaliczyć do artystycznych.

Stolarze pokazują meble, dla opisania których trzebaby poświęcić chyba osobny artykuł, tyle tu piękna... Są zupełnie oryginalne, przeważnie zaś w stylu Ludwików.

Erlenbach przedstawił szkła tak zwane okrętowe — swojej fabryki. Widzimy płyty grubości dwu cali, obrazy na szkle, zwierciadła, tafle dla posadzek niezmiernie mocne, ale nie tanie: łokieć kwadratowy szkła grubości pół cala kosztuje do 20 rs.

Pięć firm fabryczno-ślusarskich współubiega się o palmę pierwszeństwa dla swych wyrobów z żelaza; są tu przedmioty takie, jak np. świeczniki, kosztujące przeszło tysiąc rubli. Podobne wyroby stają już na granicy między rzemiosłem i artyzmem.

Pomijamy asfalt, rozmaite posadzki drewniane, rzeźby, elektryczne przyrządy i zatrzymamy się dłużej na mozajce z drzewa — Świrskiego, przedmiotach o tyle oryginalnych i pięknych, o ile drogich.

Po obejrzeniu wystawy, widz przychodzi do wniosku, że chcąc korzystać z jej przedmiotów, musi zbudować pałac. Jeżeli zaś zadowoli się chałupą, może korzystać tylko z asfaltu i z wynalazku Babajewa; ten ostatni umie rzeczy drewniane przerabiać na ogniotrwałe. Powiadają jednak, że czarodziejska własność drzewa wkrótce, bo nawet nie wróciwszy kosztu, ginie.

Coraz częściej można spotkać się w stolicy ze zwolennikami wegeteryanizmu. Tymczasem szkoła ta nie posiada określonych zasad: jedni dowodzą, że celem roślinożerności jest przekształcenie człowieka ze zwierzęcia drapieżnego na łagodne, inni zaś twierdzą, że poprostu nie mamy prawa zabijać zwierząt. Ci ostatni niesilni są w logice, nie wiedzą bowiem, jak postąpić z gromadami wilków, czem zastąpić obuwie uszyte ze skóry bydlęcia itd.

W zastosowaniu do życia roślinożercy dzielą się na 4 klasy. Pierwsza nie je tylko mięsa, spożywa zaś mleko, jaja, ryby. Druga mniema, że wszystko, co żyje, a więc i ryby powinny być zwolnione od haraczu. Trzecia — bardziej surowa — wzbrania mleka i jaj. Nareszcie czwarta — ascetyczna — uznaje tylko pokarm niegotowany, a więc owoce, jagody, miód, ziarna grochu, pszenicy... Do tej ostatniej doskonałości z czasem powinna dojść cała ludzkość. Natenczas Prometeusza, za przyniesienie ognia z nieba, przykujemy do skały i poślemy sępa, ażeby go mordował.

Do granic ascetyzmu dotychczas dotarł podobno tylko jeden z członków bractwa wstrzemięźliwości, ale i ten, gdy stał się wiórem, pod naciskiem rodziny musiał wrócić do kultu Prometeusza.

Jeden z literatów napadł na mnie za to, że opisując w przeszłym liście utwór Czechowa, powiedziałem, jakoby doktór Ragin nic nie czytał, tymczasem wyraźnie zaznaczono, że nie czytał tylko ksiąg lekarskich, zato lubił przesiadywać nad historyą, filozofią...

— Jest to ważny szczegół — dowodził przeciwnik — autor zapewne chciał wykazać, że zbyteczne przesiadywanie nad księgami jest rzeczą obojętną dla ogółu, a w niektórych razach nawet szkodliwą. Człowiek powinien pracować, działać, a nie błądzić po chmurach; nie kierować się w praktycznem życiu zasadami niesprzeciwiania się złemu, zło bowiem rozkrzewi się i zdusi cię.

— Szanowny panie — zauważyłem — chyba nie ja omyliłem się, ale autor. Skoro Ragin, chociaż bez żadnej korzyści dla chorych, zrana ich nawiedzał, do obiadu zasiadał nie póżno, bo o trzeciej, poczem spędzał wieczory na popijaniu piwka i pogawędce z pocztmistrzem, chyba nie miał czasu zgłębiać ksiąg...

— Jest to rozumowanie dowolne; jeżeli autor powiada, że czytał wiele, więc czytał.

— Przepraszam — odrzekłem skruszony — postaram się naprawić moją omyłkę.

Szkoła męzka przy kościele św. Katarzyny, na wzór przeszłego roku, urządziła dla swych ubogich uczniów koncert. Dochodu otrzymano przeszło 800 rs. Uczestniczyli w koncercie: p. Janowska (śpiew), p. Ranuszewicz (fortepian), p. Morska (deklamacya), p. Manelewicz (wiolonczela) i p. Plesków (skrzypce). Krom tego chóry uczniów i uczenic.

Słyszeliśmy głosy, narzekające na p. Morską za to, że w tak poważnej sali, jak biblioteka klasztorna, deklamowała lekkie romanse Gawalewicza o niebieskich kołnierzach itd. Nie jesteśmy zwolennikami purytanizmu, jednak, jeśli nie na intencyę biblioteki i słuchaczów, przynajmniej na intencyę dzieciaków wartoby dla deklamacyi wziąć rzeczy poważniejsze. Sądząc z tego, że przyjezdni deklamatorzy tak chętnie czytają utwory Gawalewicza, mniemamy, że w Warszawie mają one znaczny popyt; ale czyż można południe porównywać z północą! Wy się tam bawicie, pląsacie, dow-

cipkujecie, więc dla tak szczęśliwych ludzi i utwory podobne są stosowne. My tu na północy przełożylibyśmy rzeczy poważniejsze. Zresztą artystka czytała barwnie i ładnie.

Lekkość, z jaką artyści teatralni traktują publiczność, wyraziła się jeszcze jednym faktem. P. Mielnicki na swój benefis wystawił sztukę pod nazwą: „Wesele rozerwisty.“ Jest to wielka farsa, raczej cały ich splot. Rzecz dziwna, że tak zdolny artysta tak mało ma smaku... W poszukiwaniu lekkich, wesołych rzeczy, zapędził się aż na bezdroża. Widzowie, wychodząc z teatru, zapytywali siebie wzajem: co to znaczy?

Słyszymy projekty o antrepryzie teatralnej na zimę następną. Wymieniają nawet pod sekretem imię przedsiębiorcy... Tak lub inaczej, jesteśmy przekonani, że wieść o zmianie całej trupy jest przesadną, niebezpiecznie bowiem dobre siły zmieniać na niewiadome. Juści wśród teraźniejszych aktorów niektórzy stworzeni są podobno do innych, zapewne wyższych zadań, tylko nie dla sceny, ale o wszystkich nie mamy prawa tego mówić. Przy wszelkiej kombinacyi powinniśmy pamiętać, że Królikowskich już nie ma, a i Rapaccy, chyba do nas nie pojadą.

N. B.

SPRAWY SZKOLNE.

Ruska prasa zamieściła w tych dniach okólnik ministeryalny do zwierzchników szkół średnich, zwracający uwagę na wadliwy sposób oceniania uzdolnień i pilności młodzieży. Ze względu na doniosłość sprawy, streszczamy poniżej uwagi władzy wyższej, oparte na badaniach systemów pedagogicznych. Dostrzeżono przedewszystkiem rażącą ilość złych stopni, notowanych przez nauczycieli bez jasnego celu i uzasadnienia. „Dowodzi to lekkiego traktowania tak ważnej sprawy, jak ocena postępów i pilności uczniów, tudzież świadczy o braku wskazówek ze strony zwierzchników tych zakładów naukowych, gdzie fakty takie zaszły.“ Takie ryczałtowe potępianie młodzieży, pośpieszna ocena ich zdolności i pracy, zdarza się zarówno w gimnazyach klasycznych, jak i szkołach realnych. „Ilość złych stopni z tego lub owego przedmiotu bywa tak znaczna — pisze okólnik — że gdyby według tego sądzić o postępach uczniów, możnaby dojść do wniosku, że całe gimnazyum lub szkoła realna składa się z mnóstwa zatwardziałych leniuchów, nie ulegających żadnym środkom pedagogicznym i nie mogących przejść kursu tych zakładów naukowych. Rzeczywistość wręcz co innego mówi: stopnie zapisane w cenzurach kwartalnych, dziennikach i wszelkich innych dowodach, nie mają istotnego znaczenia i nie odpowiadają wymaganiom przepisów ministeryalnych. Stopnie dotychczas stawiane nie właściwie nic mówią ani o postępach, zdolnościach, ani o uwadze i pracowitości ucznia. „Zjawiają się one często w dziennikach z pobudek nic wspólnego z taką oceną nie mających przyczem wielu nauczycieli sypie szczodrze pałki (jedności), używa najrozmaitszych znaków (plus, minus), wreszcie stosuje nowy zupełnie stopień — zero. Nadmierna ilość jedności i dwójek, zapisywanych codziennie, wywiera przygnębiające wrażenie na uczniów i ich rodziców. Młodzież niesprawiedliwie otrzymująca złe stopnie, traci ochotę do nauki i lekceważy swe obowiązki, rodzice zaś tracą zaufanie do zakładu naukowego. W takich warunkach nie może być mowy o skuteczności wykładu. Nauczyciel powinien posiadać wielką umiejętność i takt, ażeby odpowiedź ucznia była należycie oceniana. Bardzo często złą odpowiedź ucznia przypisuje on wyłącznie jego lenistwu.“

„Zanim nauczyciel zaliczy ucznia do liczby niezdolnych lub mało rozwiniętych i w ten sposób wyłączywszy go z grona kolegów, zagrodzi drogę do dalszego udoskonalenia, należy długo nad nim pracować, cierpliwie wyczekując powolnego wzrostu jego sił duchowych i nie spieszyć z oceną jego wiedzy za pośrednictwem dwójki lub jednostki. Niektórzy z nauczycieli mniemają, że ich obowiązkiem jest tylko objaśniać zadane lekcye, zapytać ucznia i postawić notę w dzienniku; żadnej odpowiedzialności za małe postępy uczniów nie chcą brać na siebie. Tymczasem odpowiedzialność ta leży głównie na nauczycielu, a zatem powinien on zastosować odpowiednie środki pedagogiczne bezpośrednio na lekcyi, aby poprawić jedność lub dwójkę, tj. nauczyć tego, czego na razie uczeń nie umie.“

Jeżeli nauczyciel nie otrzymuje odpowiedzi na zadane pytania kilku uczniom z rzędu, należy zbadać przyczynę nieprzyswojenia danego przedmiotu i co prędzej postarać się ją usunąć. Inaczej atoli bywa w praktyce: nauczyciele, jak twierdzi okólnik ministeryalny, nie ponoszą tego trudu, surowe zaś sądzenie bez wniknięcia w istotę rzeczy robi to, iż uczniowie zniechęcają się do swych przewodników pedagogicznych, stają się obojętnymi, apatycznymi względem nauki. „Liczne stopnie niedostateczne świadczą zwykle, że nauczyciel nie umie prowadzić odpowiednio powierzonego mu przedmiotu. Od niego zależy dyscyplina, uwaga, pilność i wreszcie postępy uczniów. Wytrawny zatem nauczyciel zawsze znajdzie właściwe środki pedagogiczne dla podniesienia poziomu umysłowego swych uczniów, bez uciekania się do dwójek i jedności.“ Im rzadziej uczeń będzie widział złe stopnie, tem będzie dla niego korzystniej. Zbyt hojne bowiem obdarzanie młodzieży dwójkami i jednostkami i to w większości wypadków bez istotnej potrzeby, może tylko ujemnie działać na jej usposobienie, staranność i nawet poczucie godności osobistej.

Okólnik niniejszy jest jednym ze szczegółów przedsięwziętej reformy w systemie nauki szkolnej. W roku przeszłym władza ministeryalna wydała odezwę do zwierzchników szkół średnich w sprawie przekształcenia nauki domowej, tj, przygotowywania lekcyj zadanych w klasie. Obecny nacisk na potrzebę reformy w systemie wykładowym jest poniekąd uzupełnieniem okólnika zeszłorocznego (o którym pisaliśmy w *Prawdzie*). Taka baczność, takie wnikanie w rdzeń wykładów, odczuwanie ich wadliwości, jest objawem wielce pożądanym i doniosłym. Pozwala on przypuszczać, iż w przyszłem udoskonalaniu dziedziny pedagogicznej pierwszorzędnym warunkiem będzie poznawanie natury i duszy młodzieży szkolnej, wnikanie w słabe strony jej umysłu i zdolności. Tym sposobem wielu upadających dziś pod brzemieniem chwilowych niepowodzeń, będzie mogło przebyć szczęśliwie całkowity kurs nauki.

Zn. P.

LIBERUM VETO.

Egzekwie p. Jankowskiego nad fejletonem. — Literatura jako arka Noego. — Próba ograniczenia bezmiaru. — Żywotność fejletonu. — Nuda i kaprysy filistra. — Pragnienie nowości. — Talent jako siła nieśmiertelna. — Sprawa Brzezickiej. — Dziwotwór moralny. — Środek obrony. — Prywatne obserwatoryum astronomiczne w Wilanowie.

Gdybym mógł i chciał być posłusznym wyrokowi jednego z najwszechstronniejszych i najgłębszych umysłów naszych, powinienbym od dziś zaprzestać pisywania tych rozmyślań dwutygodniowych. Bo jakże nie uczuć dreszczu trwogi o zmarnowaną pracę, jeżeli p. Cz. Jankowski wyraźnie oświadcza w *Kuryerze warszawskim*, że fejleton jest formą przestarzałą i że tego rodzaju twory posiadają tylko wartość zużytej bibuły, chociaż ją zaczerniali i Heine i Taine i tylu innych! Spaść w bezdenną otchłań zapomnienia z takimi olbrzymami nie byłoby jeszcze dla mnie dostateczną pociechą, gdy wraz z nimi nie tonął sam p. Cz. Jankowski, który przeciw fejletonowi napisał również... fejleton. Gdzie on — tam dobrze i bezpiecznie, więc czemuż mam cofnąć się przed samobójstwem, jeżeli on tak śmiało targnął się na swoją sławę mordercem piórem? Oto dlaczego jeszcze piszę *Liberum veto*, a nawet pozwolę sobie myśleć, zanim zginę w obliczu potomności.

Są ludzie, którzy codziennie, wstając i kładąc się spać, powinni klękać i odmawiać modlitwę: dziękujemy ci Panie Boże za ten chaos pojęć, który nas otacza i bez którego nie moglibyśmy pisywać artykułów. A ten zamęt, to skłębienie się mgieł, te ciężkie opary, przez które promień słońca z trudem się przebija, zalegają głównie olbrzymią krainę t. zw. *literatury*. Gdyby jakiś przyrodnik całą zawartość arki Noego zaliczył do jednej grupy zwierząt na tej zasadzie, że one znajdowały się w jednym korabiu — nazwalibyśmy go wysoce naiwnym. Nikt też dotychczas nie twierdził, że wino, piwo, piasek, kartofle, kapusta, mąka, sól, są ciałami jednorodnemi, gdyż dadzą się wsypać i wlać w jedną beczkę. A przecież coś podobnego zachodzi w literaturze, przedstawiającej rodzaj wschodniego bazaru. Czego w niej nie ma! Obok poematów i powieści, historya, ekonomia społeczna, prawo, fizyologia, chemia, statystyka, matematyka itd.! Nie dość tego, natura stwarza tak szczęśliwe i genialne umysły, że one mogą cały ów różnorodny bezmiar ze znawstwem objąć, krytycznie ocenić, w historycznym rozwoju przedstawić. Mają tylko jeden nieprzezwyciężony kłopot — z określeniem swego przedmiotu. Jakąkolwiek bowiem postawią definicyę, zawsze coś się w nią nie zmieści lub czegoś zabraknie. „Literatura“ np. ma być „wyobrazicielką umysłowego życia narodu.“ Ale co tu począć z katedrą św. Piotra, z posągiem Mojżesza, z Madonnami, z wieżą Eiffla, które również „wyobrażają życie umysłowe narodu,“ a do literatury nie należą? Szukając wspólnego mianownika dla jej różnorodności, znajdujemy go tylko w druku. Gdyby dramaty Shakespeare'a — jak sztuki nowoczesnych dramatopisarzów — nie były dotąd drukowane, lecz istniały w odpisach bibliotek teatralnych, nie stanowiłyby nabytku literatury. Możnaby więc powiedzieć, że jest ona „wyobrażeniem życia umysłowego w druku“; ale w takim razie co począć z kursectlami, przewodnikami podróżniczymi, przepisami celnymi itp., które są również drukowane? Nie wkraczajmy zresztą w sferę praktyczną: czy *Volumina legum* lub logarytmy Napiera są dziełem literatury? Takich pytań z przeczącemi lub wątpliwemi odpowiedziami można związać nieskończony łańcuch. Wszystkie one świadczą, że t. zw. literatura jest arką Noego, beczką najrozmaitszych produktów, workiem mieszaniny, polem bez granic. Jakże na to poradzić? Według mnie, jeżeli ona ma być czemś jednorodnem i zamkniętem, musi obejmować twory ducha ludzkiego, posiadające pewien charakter wspólny, mianowicie — artyzm. Literaturą wtedy nazywalibyśmy dzieła sztuki, których formę stanowi piękne słowo. To znaczy: podręcznik zoologii nie należałby do literatury, ale należałyby do niej... zoologiczne fejletony Vogta.

Z tego punktu obejrzmy się na p. Cz. Jankowskiego. Wszystkie artykuły lub utwory (po za powieścią i poezyą) pisane

żywo, barwnie, czyli artystycznie, chrzci on mianem fejletonu, który, według niego, kona i nie doczeka przyszłości. O ile to twierdzenie i ta wróżba odnoszą się do prac naukowych (w rodzaju Taine'a, Brandesa lub Vogta), odzianych piękną formą, frases taki nie wart sporu, gdyż równałby on się mniemaniu, że ludzie już znużyli się artyzmem i pragną czegoś „lepszego.“ O ile znowu p. J. ma na myśli „kronikę spraw bieżących,“ to również nie potrzeba zbyt długo szukać w literaturze, ażeby się przekonać o znikomości swego gustu i proroctwa. Zwykłe korespondencye polityczne z Paryża, zamieszczane w dziennikach, mają rzeczywiście trwałość kurscetlów lub protokułów, ale korespondencye polityczne z Paryża Heinego są czytywane i cenione dotąd, bo są utworami sztuki, artyzmu, literatury. Podobnie czytywane i cenione byłyby za lat 50 „kroniki“ Prusa, gdyby ich często bzdurna treść wyrównywała świetnej formie. Właściwe pytanie redukuje się do tego: czy ludzie będą pisali o zajmujących objawach i wypadkach swego życia zbiorowego i czy będą pisali artystycznie? Jeżeli tylko nie zaprzestaną tego czynić, t. z. fejleton ma zapewnioną przyszłość, bo zwłaszcza w pismach peryodycznych stanowi on jeden z bardzo niewielu pierwiastków literatury. Nie przeczę, że on nam trochę spowszedniał, ale naprzód dlatego, że posiadamy pióra bardzo licho, a powtóre dlatego, że cierpimy na nudę filistrów. Nudę tę trzeba zawsze odróżniać od głębokiej krytyki i wyższych pragnień. Nie jest ona krzykiem głodu, ale kaprysu. Nasyceni, zdręczeni niestrawnością, łaknący jakiejkolwiek nowości, wołamy do obsługujących:

— Już nam obrzydły kwiczoły, kapłony i pulardy... Wymyślcież coś odmiennego. Słowicze języki — nie, już je zjadano w starożytności. Ale może potrawka z serc dzięciołów? Może kotlety z ogonków jaszczurczych? Może wreszcie nozdrza krecie? A napoje... Dusza się wstrząsa na Benedyktyny, Chartreusy i Cirassa! Mieszaliśmy się, ale i kombinacye się wyczerpały. Do djabła, czyż wiecznie tkwić będziemy w pomysłach mnichów średniowiecznych?.. Przecież wynaleziono bakterye pachnące, czemuż ich nie użyć do nalewek?

Podobne reformatorskie zachcenia odzywają się nieraz w literaturze, a dla dogodzenia im ludzie zdobywają się na głupstwa i potworności, na *dekadentyzm*, *symbolizm* i inne nalewki bakteryowe, aby tylko na stole piśmiennictwa znalazło się coś nowego.

— Fejleton — to szampan, ale cóż do licha, czyż wiecznie pić to musujące wino? Czyż soki truskawek — fe! i to znane! — czyż wypróbowano, że jagody morwy nie zawierają w sobie pysznego napoju?

Tak się czasem „wybiega myślą w przyszłość.“ Dążmy do niej ustawicznie i prędko. Ale czkawka niestrawności, ziewanie opilców, kaprysy przesytu nie będą nigdy objawieniem pragnień ludzkości. Tak zwany „fejleton“ wcale jej nie obrzydł, bo w nim tkwi nieśmiertelny artyzm, który wszystko ubezpiecza od śmierci, w czemkolwiek przebywa. Börne, opisujący spacer małpy po ogrodzie zoologicznym, da nam więcej estetycznego zadowolenia, niż rymorób opiewający walkę tytanów w długiej epopei. Talent zdoła ziarnka piasku uczynić górą, a nieudolność — górę ziarnkiem piasku. Więc i fejleton będzie miał swoje zaszczytne miejsce w literaturze, dopóki talent z niego swej ręki nie zdejmie. Nie trzeba kopać dołu, zanim dusza nie opuściła ciała. I p. Jankowski niech jeszcze nie dzwoni na pogrzeb postaci literackiej, chociaż go ona już znudziła. Niech raczej stworzy inną i zaprosi nas na chrzciny.

A teraz przejdźmy do porządku dziennego. Nie tylko ci, którzy słuchają sprawy w sądzie, zajmują się Brzezicką, zajmują się nią dziś wszyscy — jedni z zamiłowania do wypadków i ludzi szarpiących nerwy, drudzy zainteresowani widokiem szczególnego zwyrodnienia moralnego. Już poprzednio zaznaczyłem, że przedstawia ona w kryminalistyce okaz dość wyjątkowy. W galeryi przestępców nie spotykamy kobiety „wyższego towarzystwa,“ któraby umiała godzić przywiązanie do dzieci i męża, a zatem uczucia dodatnie, z najbardziej wyrafinowanem oszustwem, któraby wreszcie dopuściła się zwyczajnego morderstwa dla grabieży. Według zeznań służby była to dobra pani, według zeznań rodziny, dobra żona i matka, a według świadectwa ofiar swej żądzy zdobywania pieniędzy — przebiegła i pomysłowa oszustka. Pożyczała od wszystkich: krewnych znajomych, podwładnych męża, jego kolegów, kupców, nawet od dróżników kolejowych. Wziąwszy od jubilerów na kredyt kosztowności, zastawiała je w lombardzie, skąd otrzymywała pieniądze a potem sprzedawała kwity zastawowe. Skłoniwszy d-ra V. do podpisania wekslu na 300 rs., pod pozorem spłaty częściowej zażądała później dwu po 150 rs., a w godzinę potem przybyła strapiona, że te dwa zostały zniszczone wylanym z kałamarza atramentem, wymogła więc inne, obiecując tamte zwrócić — i wszystkie puściła w obieg. Wyprosiwszy sobie od kuzynki „na wzór“ wyciąg hipoteczny, będący świadectwem wypożyczonej konuś sumy, sfałszowała na wekslu podpis tej kuzynki, a jako rękojmię przedstawiła wypożyczającemu ów dowód. Fałszowała podpisy najrozmaitszych osób, z któremi nawet nie pozostawała w żadnych stosunkach. Wiadome aktowi oskarżenia długi, przeważnie bezprocentowe i niespłacone, urosły do kilkudziesięciu tysięcy rubli. Gdy już kredyt zupełnie wyczerpała, pod groźą odpowiedzialności karnej za oszustwa i fałszerstwa, zamordowała 14 uderzeniami młotka bogatą samotnicę, Gerlachową, u której przetrząsnąwszy całe mieszkanie, znalazła i zabrała 4,000 kilkaset rubli. Gdyby nie przypadek, który nasunął podejrzenie służącej z niższego piętra, słyszącej jakiś łoskot i jęki w mieszkaniu mordowanej, może dotąd daremnie szukanoby śladów zbrodniarki. W tej chwili stoi ona jeszcze przed sądem, oczekując wyroku. Z badania świadków zarysowywa się plan obrony, usiłującej zebrać dowody niepoczytalności. Jest to naturalnie jedyny i obecnie coraz częściej w ratowaniu przestępców „wyższego stanowiska“ społecznego używany środek. Czy poskutkuje — zobaczymy.

Słyszeliśmy, że hr. Branicki ma zamiar kupić pozostałe po zmarłym dr. Jędrzejowiczu z Płońska urządzenie astronomiczne i założyć obserwatoryum w Wilanowie. Byłby to fakt wielce pocieszający. Od śmierci bowiem Jędrzejewicza badania astronomiczne u nas ograniczają się do bardzo skromnych rozmiarów i opuszczone są zupełnie przez siły prywatne. Gdyby stacya wilanowska została urządzona i wyposażona należycie, gdyby jej kierownictwo powierzone zostało człowiekowi odpowiedniemu, mogłaby oddać nauce wielkie usługi. Na pierwsze stać bogatego magnata, na drugie — zdobędzie się społeczeństwo. Nie można zaś łudzić się nadzieją, że prędko wyjdzie z pomiędzy nas człowiek, który — jak Jędrzejewicz—z zaparciem się i energią stworzy sobie własne obserwatoryum. Trudniej biedakowi ponieść taką ofiarę, niż wielkiemu panu dać pieniądze. Hr. Branicey przez swe muzeum zoologiczne weszli już na drogę starań o dobro wiedzy; niechże postąpią dalej i dowiodą, że arystokracya także wybiera sobie zaszczytne role.

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Ograniczenie spekulacyi. Kancelarya kredytowa z polecenia ministra skarbu zawiadamia instytucye bankowe, domy bankierskie i handlowe tudzież kantory i inne ogniska kredytu handlowego o konieczności przeciwdziałania obrotom spekulacyjnym, dokonywanym przez zagraniczne instytucye giełdowe na kurs rubla kredytowego z przeważającą dążnością zniżkową. Minister skarbu żywi nadzieję, że prywatne urządzenia bankowe dołożą starań do zapobiegania szkodliwej grze na kursie. Gdyby zaś się okazało, że instytucye kredytu handlowego w Rosyi są pomocne w terminowych tranzakcyach na różnicę, albo uczestniczą w takiej grze i tem ułatwiają graczom otrzymanie biletów kredytowych przez otwieranie im kredytu w jakiejkolwiek formie, albo wogóle dopomagają do gry — to minister skarbu zmuszony będzie zamknąć takim instytucyom wszelkie rachunki w Banku państwa, a w ostatecznym razie uciec się nawet do bardziej stanowczych środków w tem przeświadczeniu, iż wypadki podobne mogą się zdarzać jedynie przy widocznej i uporczywej złej woli. W taki sam sposób ministeryum skarbu będzie postępowało z domami bankierskimi i firmami handlowemi, uczestniczącemi w grze na kursie rubla.

Gorzelnictwo. Uchwały przeszłorocznego zjazdu gorzelniczego przeszły do „rady,“ utworzonej w ministeryum skarbu pod przewodnictwem towarzysza ministra, Jermołowa. Prośbę o zbadanie różnych warunków technicznych produkcyi, wobec specyalności przedmiotu, oddano departamentowi dochodów niestałych i komitetowi technicznemu tegoż wydziału. Ten komitet zajmie się projektem zwolnienia od akcyzy spirytusu, używanego na cele ściśle techniczne w różnych specyalnych przedsiębiorstwach i fabrykach. Obmyślenie środków dla uregulowania handlu wódczanego i uchwalone w tej mierze przez zjazd wnioski rada przekazała departamentowi handlu i rękodzieł. W związku z utworzeniem giełd spirytusowych, jako umożliwiających mniej więcej dokładne notowanie cen krajowych i zagranicznych, jest myśl włożenia na dozór akcyzny zbierania bieżących cen okowity. Wiadomości te w pewnych wypadkach mogłyby prostować i uzupełniać notowania giełdowe. Co do utworzenia w głównych ogniskach handlu składów rządowych, na wzór istniejącego w Moskwie, rada wskazała Charków i Rostów. Między innemi zwrócono uwagę na potrzebę ograniczenia prawa żydów do zajmowania się handlem trunkami, zarówno w sprzedaży cząstkowej, jak i hurtowej. Plan utworzenia pewnego rodzaju związku gorzelników rada przekazała departamentowi handlu, zajmującemu się sprawą podobnych związków ziemiańskich, jednocześnie wszakże zastrzegła, że chociaż syndykaty takie przyniosłyby niezawodnie pożytek interesom gorzelników, sprawę tę jednak wogóle należy traktować w sposób oględny, łatwo bowiem związki takie przechodzą w zmowę. Co do otwierania szynków w Królestwie Polskiem, zdaniem rady, trzeba się porozumieć z władzami miejscowemi, tudzież zarządem akcyzy, o ile projekt da się przeprowadzić. Dla urządzenia składów rządowych przy komorach w ważniejszych portach zagranicznych (Hamburgu, Londynie, Barcelonie), departament dochodów niestałych zajmie się zgromadzeniem danych o handlu wódczanym na rynkach zagranicznych, jak to już uczyniono z hamburskim. Przekazano dalej ministeryum skarbu i departamentom projekt utworzenia składów spirytusowych z warrantami przy głównych komorach wodnych i lądowych. Prośbę w sprawie upoważnienia właścicieli go-

rzelni do wytwarzania wyrobów wódczanych z wyprodukowanego przez nich spirytusu bez obowiązku zaopatrywania się w odpowiednią ilość banderoli, rada zaliczyła do uwzględnienia.

Zjazd owczarski. Kilku właścicieli owczarni zarodowych zwróciło uwagę na potrzebę urządzenia zjazdu owczarskiego w r. b. podczas jarmarku świętojańskiego na wełnę. W tym celu przesłano do ministeryum dóbr państwa projekt programu obrad, obejmującego szereg spraw następujących: 1) ułatwienie przewozu wełny na kolejach. 2) Ułatwienie handlu wywozowego, ciągle krępowanego przez zamykanie granicy dla wełny pod pozorem ochrony przed epizootyą. 3) Utworzenie szkoły owczarzy. 4) Urządzenie wystaw owczarni zarodowych w połączeniu z narodami hodowców. 5) Organizacya owczarni zarodowych z sum przez ministeryum udzielanych. 6) Uregulowanie handlu wewnętrznego wełną. 7) Obmyślenie najracyonalniejszego kierunku w hodowli owiec, odpowiednio do wymagań rynków handlowych pod względem wełny i mięsa.

— Moskiewskie Towarzystwo popierania przemysłu ogłasza konkurs z nagrodą 3,000 rs. na najlepszy sposób oczyszczania wód, odprowadzanych z farbiarni, blicharni i drukarni przy fabrykach wyrobów bawełnianych. Termin — 13 lipca 1894 r.

— W r. b. otwarte będą oddziały Banku państwa w Berdyczowie, Humaniu i Czernihowie (*Swiet*).

— Z dniem 13-ym maja r. b. dawne bilety kredytowe, znajdujące się jeszcze w obiegu, tracą zupełnie swą wartość.

— Ziemianie kilku powiatów gub. radomskiej postanowili zwrócić się do zarządu kolei Dąbrowskiej z prośbą o udzielanie na wzór drogi Nadwiślańskiej zaliczek na zboże, dowożonego na stacye. Pow. Sandomierski wytwarza piękne gatunki pszenicy, dostawione do odnogi ostrowieckiej; w innych powiatach (koneckim i opoczyńskim) wielu rolników na własne ryzyko wysyła zboże do Sosnowca. Wprowadzenie zaliczek wywołałoby znaczne ożywienie w tym zakresie.

— W departamencie handlu i rękodzieł opracowano projekt otwierania warsztatów, w których rzemieślnicy mogliby korzystać z motorów mechanicznych.

PRASA RUSKA.

Upaństwowienie dobroczynności.

Filantropia otrzyma wkrótce odmienną postać. Dobrodziejstwo wolej ręki ustąpi miejsca miłosierdziu jednolicie uorganizowanemu. Reformy tej dokonać ma ministeryum spraw wewnętrznych za pomocą specyalnie do tego celu powołanej komisyi. Jak daleko zmieni ona u nas dotychczasową dobroczynność lub rozszerzy zakres jej działalności, o tem trudno dziś wiedzieć.

Petersb. Wiedomosti przewidują, że komisya pełnie dobroczynność na bardzo szerokie pole zadań. Dotychczas uwzględniano przeważnie miłosierdzie względem ludzi niezdolnych do pracy skutkiem nieletności, niedołęztwa starczego, choroby lub okaleczenia. Tu należą między innemi takie objawy filantropii, jak np. prawo ograniczające pracę dzieci po fabrykach, przytułki dla starców i kalek, zupa rumfordzka itp. Troska o polepszenie warunków bytu warstw niższych była rzeczą obcą. W niedalekiej przyszłości miłosierdzie jałmużnicze będzie iść w parze z dobroczynnością wyższego rzędu, uzupełniając tę ostatnią. Obie razem chociaż nie rozstrzygną trudnej do rozwiązania kwestyi nędzy społecznej, to jednak, zdaniem *Pet. Wied.*, paraliżować mogą jej rozwój i uczynić ją możliwie najmniej szkodliwą dla postępu społecznego i państwowego.

Statystyka sanitarna Londynu wykazuje, że w pewnych cyrkułach tego miasta śmiertelność wynosiła w r. 1889 *sześćdziesiąt* osób na 1000, obecnie zaś wynosi tylko *siedemnaście*. Postęp ten przypisuje się „zbudowaniu dla robotników nowych domów, czyniących zadość wymaganiom hygieny rozumnej.“ Kasy oszczędności, emerytalne i wszelkie instytucye finansowe chętnie też tam udzielają długoterminowych pożyczek na hipotekę spółek robotniczych do nabywania lub budowania domów, odpowiadających warunkom zdrowotnym. Gdzieindziej zaś na Zachodzie (zwłaszcza w Belgii) za czyste utrzymywanie mieszkań robotnicy dostają nagrody pieniężne, a to w tem wyrachowaniu, że zabezpieczenie całego społeczeństwa od klęsk epidemii sowicie wydatki te opłaca. Dobroczynność zachodnio-europejska nietylko wytęża się ku polepszeniu stosunków mieszkaniowych ludności pracującej, ale dba także o zdrową dla niej strawę. Towarzystwa spożywcze silnie rozwinięte, zniżające środki utrzymania najemnika o 20 do 30% i umożliwiające do spółki z kuchniami taniemi bardziej umiarkowaną płacę — są to właśnie objawy owej dbałości. Ulepszenia mieszkań i wzrost sytości mas działają nader dobroczynnie nietylko pod względem zdrowotnym, ale i zmniejszają procent jednostek niezdolnych do pracy, a więc uciążliwych każdemu społeczeństwu.

„Jeszcze szerzej traktowana jest na Zachodzie sprawa zaspakajania duchowych potrzeb ludności. Nauka jest jednym z najskuteczniejszych środków zwalczania biedy z wszystkimi jej niebezpiecznymi objawami dla społeczeństwa i państwa. Dlatego też w większych ogniskach cywilizacyi wiedza dostarczana jest wszelkimi środkami ciemnym masom w formie dostępnych lekcyj, broszur, wycieczek itd. Nie zapomniano wreszcie i o tych czynnikach, które podnoszą i uszlachetniają ducha, a więc o teatrach ludowych, tworzeniu chórów i orkiestr robotniczych, urządzaniu zabaw ludowych itp.“

Przypominając sobie to wszystko, *Pet. Wiedomosti* zapewniają, że takie właśnie cele komisya, mająca zreformować dobroczynność, będzie miała na oku.

Z. A. P.

KRONIKA.

Zdrowotność Warszawy. Wrażliwych i niezbyt opornych na wszelkiego rodzaju niemoc przez parę miesięcy trapiły wykazy śmiertelności i chorób dochodzących do rozmiarów oddawna niebywałych. Dopiero w kilku ostatnich tygodniach r. z. zdrowotność Warszawy znacznie się poprawiła. Śmiertelność podczas ubiegłej jesieni — pisze Medycyna — przeszła rozmiarami zwykłą śmiertelność lat ubiegłych w tym okresie w sposób istotnie niepokojący. Gdy bowiem w tymże okresie w pięciu latach poprzedzających wyraziła się ona cyfrą średnią 26,72, w r. z. podskoczyła nagle we wrześniu do 37,08, w październiku do 39,23, w listopadzie spadła do 30,53%. Jakie były właściwe powody tak niepomyślnego stanu, lekarze nie zdołali jeszcze ściśle określić. To tylko pewna, że ani cholera, ani wogóle zaburzenia przewodu pokarmowego na szali śmiertelności zbyt ciężko nie zaważyły. Natomiast największą ofiar zabrały choroby gorączkowe śród dzieci, szczególnie szkarlatyna, dyfteryt, odra, ospa, w części zaś dysenterya. Słuszną zwraca uwagę *Medycyna*, że środki, zastosowane w roku zeszłym dla stłumienia cholery, powinny uzyskać trwałą formę i przeciwdziałać wszelkim innym chorobom zakaźnym. Zasadniczymi sposobami walki mogą tu być: odosobnienie chorych, zwłaszcza w warstwach ubogich, otwierania dostatecznej liczby oddziałów szpitalnych, przestrzeganie właściwych przepisów pod względem posyłania dzieci do szkół z domów dotkniętych zarazą. W obecnych warunkach bardzo niewielka liczba chorób zakaźnych może znaleźć pomoc w zakładach leczniczych. Według sprawozdania organu lekarskiego, na schyłku roku zeszłego szkarlatyna i dyfteryt zmniejszyły się widocznie, jednocześnie przebieg ich stał się łagodniejszy. Natomiast częstsze są wypadki zapalenia płuc krupowego i wogóle choroby dróg oddechowych. Notowane są również w praktyce lekarskiej nieliczne przypadki grypy o przebiegu wogóle łagodnym. Odra i ospa trwa jeszcze, tyfus — rzadziej, niż w miesiącach poprzednich.

Fałszywe pieniądze. Mieszkańcom Warszawy znana jest dobrze fałszowana moneta zdawkowa, każdy się jej wystrzega i każdemu prawie kiedykolwiek ją wetknięto. Jakieś podziemne mennice działają ciągle, zasilając bezustannie mieszkańców Warszawy w fałszowaną monetą zdawkową. Charakterystycznym jest fakt, że pomimo łatwości rozpoznania tych fałszywych bilonów, jednakże one krążą i wypełniają swoje społeczno-pieniężne zadanie. Fakt ten można pozostawić do rozwiązania tym pp. ekonomistom, którzy upatrują rękojmię wartości pieniędzy umożliwiającą ich obieg, jedynie w wartości materyału, z którego są zrobione lub który przedstawiają. Właśnie przed kilku dniami odkryto jedno z takich ognisk fałszerskich, zasilających Warszawę w monetę zdawkową. Zatrzymano przy zmianie fałszywych pieniędzy dwie żydówki, Bajle i Esterę Rozenceweig. Po nitce, na której supełkami okazali się Moszek Rozencweig i Jankiel Sołowiejczyk — odnaleziono kłębek w postaci warsztatu mechanicznego Judki Lwowicza, gdzie odbywała się produkcya pieniędzy. Na drogę tego rodzaju „geszeftu“ popchnęła Judkę nędza. Wyrabiał on dwudziesto-kopiejkówki ze starych łyżek frażetowskich; interes jednak okazał się mało korzystnym i miał się już z niego wycofać i w tym celu zniszczył już nawet swoje przyrządy — gdy został odkryty.

Sprawy społeczne. Komisya, zajmująca się opracowaniem projektu nowej ustawy straży ogniowych, oświadczyła się za koniecznością zorganizowania urządzenia w guberniach i powiatach komitetów przeciwpożarowych. Fundusze na organizacyę tych komitetów mają być ściągnięte w formie podatku od utrzymujących we wsiach karczmy. Projektowane towarzystwo ogniowe składać się ma ze wszystkich straży ogniowych, instytucyj i osób, mających na celu walkę z ogniem. Towarzystwo składać się będzie z następujących organów: a) stałych: głównej rady w Petersburgu i rad okręgowych; b) peryodycznych, do których należą zjazdy, ogólne w Petersburgu i okręgowe (miejscowe). Członkowie składać będą na cele, objęte ustawą, po kop. 15 rocznie. Główne i okręgowe rady obowiązane będą: pierwsze — jednoczyć i wyrównywać działalność organów okręgowych, przyjmować na siebie reprezentacyę wobec władzy wyższej, popierać podwładne instytucye itd.; drugie mają czuwać nad rozwojem straży i udoskonalenia sposobów ratunkowych. Przy zjazdach będą urządzone wystawy.

— Według doniesienia *Rusk. żiżń* ma się zorganizować komisya rządowa, która zajmie się opracowaniem przepisów względem egzaminów na czeladników rzemieślniczych. Będą oznaczone ściśle kwalifikacye naukowe, bez których otrzymane świadectwo uważane ma być za tymczasowe, niedające prawa do tytułu czeladnika.

Szkoły. Na przedstawienie rady uniwersytetu warszawskiego, ministeryum oświaty zatwierdziło nową posadę nadetatowego laboranta przy katedrze chemii. Profesorowie i docenci uniwersytetu dorpackiego, poddani ruscy, otrzymali urzędowe zapytanie, czy mogą od przyszłego semestra jesiennego rozpocząć prowadzenie wykładów w języku ruskim. Wyjątek zrobiono tylko dla wydziału teologicznego.

Zdrowie publiczne. Z powodu ustania epidemii zarząd kolei Nadwiślańskiej wydał rozporządzenie, aby z wyjątkiem stacyi Nasielsk z dn. 27 b. m. zniesione zostały wszelkie zarządzenia sanitarne na całej linii.

— Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła projekt etatu szpitala praskiego na 60 chorych obojga płci, z dochodem i rozchodem 14,400 rs. rocznie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zajęte jest obszernym projektem gruntownego oczyszczenia tych miast, które w r. z. były głównemi ogniskami epidemii.

Sprawy kolejowe. Główny inpektor kolejowy pułkownik v. Wendrych, zwrócił się do ministeryum komunikacyi z projektem ujednostajnienia kar na maszynistów wszystkich kolei. Normą mają być kary, stosowane na drogach Południowo-Zachodnich.

— W znacznej już części nadesłano odpowiedzi na kwestyonaryusz w sprawie biletów pasażerskich. Za trzy miesiące komisya przystąpi już do opracowania projektu reformy na podstawie L. J. Perla, o którym

pisaliśmy obszernnej r. z. na szpaltach *Prawdy* w artykule o zjeździe kolejowym.

— Pierwsze zebranie ogólne Członków-Założycieli „Towarzystwa kolei podjazdowych" zwołano na 10 lutego. Między innemi będzie tam rozstrzygnięta sprawa budowy linii pomocniczej od Święcian do Głębokiego.

— W marcu r. b. przejdzie na rzecz skarbu kolej Bałtycka.

— Departament kolejowy zapytał urzędowo koleje prywatne, gdzie umieszczają swoje kapitały i jaki procent od nich otrzymują.

Konkurs. Redakcya „Rolnika i hodowcy" ogłasza konkurs na dwa artykuły z dziedziny rolnictwa (około 1000 wierszy) i dwa z dziedziny hodowli. Najlepsze prace otrzymają po rs. 75, gorsze po 25. Termin 1 sierpnia 1893.

Bibliogr. D-r F. Giedroyć, *Jak się zachować w chorobach wenerycznych*, str. 70, Warszawa, Gebethner Wolff.

— W. Rakowski, *Przewodnik kolejowy*, półrocze zimowe r. 1893.

Niwa, dwutygodnik naukowy, społeczny i literacki, pod redakcyą L. Grendyszyńskiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. Kacp. w Warszawie. Ma Pan słuszność, że kaznodzieja, który w *Tygodn. ilustr.* karci „gazeciarzów", za zaśmiecanie języka obcymi wyrazami, zabawnie wygląda z takim bukiecikiem własnym: *zakomunikować, aforyzm, premisy, amplifikacye, puryzm, argumentacyę, lapidarny, absurd, rebelianis* i t. d. Można zawołać: lekarzu, ulecz naprzód siebie.

Pani M. Dan. Jakiż to długi dziób musiałby mieć ten bocian, któryby chciał zebrać wszystkie skaczące po naszej prasie żabki!

Orio. Udowodniono, że Aspazya nie była nigdy heterą, ale to nic a nic nie pomaga, ażeby jej tak nie nazywano.

Panu Ksaweremu. Niestety, sprawy dla wszystkich ważne, są często dla wielu nudne. Dlatego nie zajmują Pana ekonomiczne.

Redaktor i Wydawca **dr. fil. Al. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Января 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.